

P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 27 LIPCA 1935 R. * NUMER 30 (95)

TREŚĆ: BOGDAN SUCHODOLSKI: Z zagadnień socjalizmu * S. NAPIERSKI, AL. CZYŻEWSKI: Poezje * ROMAN INGARDEN: „Monachomachji humanistycznej” ciąg dalszy * CEZARY JELLENTA: *Forpocztzy* * ZOFJA NALKOWSKA: Syn * MACIEJ MASŁOWSKI: Wy-



stawa Józefa Mehoffera * B. K.: Stefan Jaracz * H. M.: Z literatury o Józefie Piłsudskim * WŁADYSŁAW SEBYŁA: Poezja * ZBIGNIEW KUCHARSKI: Powieść * BOGDAN KORZENIEWSKI, KAROL IRZYKOWSKI: Teatr * A. S.: Idee * Kronika * Program radiowy.

Z ZAGADNIEŃ SOCJALIZMU

REWIZJA MATERJALIZMU DZIEJOWEGO

Znakomity socjalista belgijski, Henryk de Man, ogłosił niedawno po francusku (wydanie niemieckie spalone w r. 1933) książkę o idei socjalizmu (*L'idée socialiste*, Paris 1935). Jest ona dalszym ciągiem badań naukowo-społecznych autora, których rewelacyjne wyniki podziwialiśmy w głosnym studjum p. t. *Au delà du marxisme*. O ile w tamtym dziele przeważał punkt widzenia psychologicznego, o tyle tu dominuje punkt widzenia historyczny. Tam chodziło o oczyszczenie marksizmu z naturalistycznej psychologii, wyznawanej przez epokę, w której żył Marx, i o pogłębienie jego myśli wynikami współczesnych badań psychologicznych, a głównie szkoły Adлера. Obecnie autor poddaje rewizji historyczne poglądy socjalizmu, oraz stara się nakreślić, odbiegając od utartych schematów, obraz dziejowej ewolucji Europy zachodniej i źródeł idei socjalistycznych. W związku z tem nasuwa się zagadnienie czynników rozwoju oraz istoty kultury.

Kultura pojmowana jest przez marksistów jako nadbudowa, wytwarzana przez gospodarstwo społeczne podłoże życiowe. Na gruncie tej zasady powstają — zdaniem de Mana — dwa stanowiska. Jedni pojmują kulturę jako wyraz społeczeństwa i dlatego o kulturze socjalistycznej mówią jako o kulturze przyszłego, socjalistycznego społeczeństwa, drudzy natomiast pojmują kulturę jako przejaw interesów klasowych i dlatego mówią o kulturze socjalistycznej już obecnie jako o kulturze proletariatu. Ale żadne z tych stanowisk, jak sądzi de Man, nie ma słuszności. Jego krytyka — cecha to znamienna i stała myśli de Mana — nie posiada charakteru teoretycznego, opiera się na obserwacji życia i przeciw doktrynerskim teorjom wysuwa realne fakty. W tem świetle pierwsza koncepcja ma wiele z dawnego utopizmu, oderwanego zupełnie od realnych warunków życia, i jest dla praktyki działania socjalistycznego teorją zgola niebezpieczną. Skoro bowiem kultura ma być wyrazem społeczeństwa i skoro socjalistyczna kultura możliwa będzie dopiero w społeczeństwie socjalistycznym, to oczywiście w społeczeństwie kapitalistycznym istnieje może tylko kultura kapitalistyczna. Tymczasem i życie kulturalne proletariatu i jego ideowe nadzieje uczy i wymagają wiary w możliwość przeciwstawienia się już dziś — przynajmniej w ruchu oświatowym — kulturze kapitalistyczno-burżuazyjnej. Te braki obiecuje naprawić drugie stanowisko, według którego kultura nie jest nadbudową organizacji społecznej, ale wyrazem interesów klasowych. Dzięki takiej teorji interesy klasowe proletariatu wyrażać się mogą już dziś w odrębnej formie kultury. Ale i to ujęcie sprawy nie wydaje się de Manowi słuszne; sądzi on, iż rozmią się ono z rzeczywistością i jest doktrynerstwem. Gdyby bowiem było słuszne, należałoby się spodziewać, iż wzrost proletaryzacji i świadomości klasowej, jaki się dokonał w czasach nowożytnych, wyrazi się wzmocnieniem kultury proletariackiej i obniżeniem siły wpływów kultury burżuazyjnej. Tymczasem rzeczywistość ukazuje zupełnie coś innego: im bardziej ruch socjalistyczny zyskuje na sile, tem wyraźniej klasa robotnicza podlega wpływom kultury burżuazyjnej i tem chętniej, zyskując polepszenie materialnego położenia, przejmując jej styl życia. Podobnego przykładu dostarcza Rosja. Jej rzekomo proletariacka kultura okazuje się właściwie kulturą dla proletariatu, tworzoną przez artystów i intelektualistów, spokrewnionych z kulturą burżuazyjnego Zachodu. Ostatecznie przyznał to sam Trocki w książce *Literatura i rewolucja*.

Kultura zatem — wnioskuje de Man — ani nie jest wynikiem struktury społecznej, ani wytworem interesów klasowych. Każda z tych teorji ma pewną słuszność, ale obie opierają się na fałszywym pojmowaniu kultury jako nadbudowy. Aby dojść do zgodnego z rzeczywistością ujęcia zagadnienia, trzeba przedewszystkiem zdać sobie sprawę z tego, iż pojęcie kultury powinno być stosowane do całego zakresu życia. Kultura jest pewnym stylem życia, wynikającym ze wspólnej wiary w określoną hierarchję wartości. Przejawia się więc zarówno w działalności gospodarczej i społecznej, w dążeniach mas, jak i w potrzebach i ideałach jednostek. Kultura stanowi nierozdzielny spłot wzajemnych zależności, zachodzących między wszelkimi czynnikami życia, i dlatego sztuczną dowolnością jest wybierać niektóre z nich jako podstawowe i traktować inne jako wtórne i przyczynowe od tamtych zależne.

Znaczenie ważniejsze jest zdaniem de Mana rozróżnienie inne. Są dwie funkcje: twórcza i odbiorcza. Każda z nich ma odmienny charakter. Konsumowanie wartości — nazwijmy to, jak proponuje de Man, cywilizacją — dokonywa się według mody i szablonu. Kierowane jest zazwyczaj obawą przed opinią, przed odosobnieniem, przed skandalem. Konsumowanie kultury staje często na usługach ambicji jednostkowych i klasowych, jest u mocnieniem prestiżu, wykazaniem wyższości stanowej, przywilejem. Dlatego też konsumowanie kultury, czyli cywilizacja, może być wyjaśnione jako nadbudowa, zależna od klasowych interesów. Inaczej tworzenie wartości. Nie jest ono wynikiem przystosowania się, ale owocem buntu, protestu. Rodzi się ono z poczucia swobody, ma w sobie coś z bohaterstwa i poświęcenia. Psychologicznie biorąc, jest owocem potrzeby uwolnienia się aktem twórczym od nagromadzonych treści. Tworzenie kultury dokonywa się spontanicznie i samistnie. Rządzi tu prawo rozwoju problemów, pytań i odpowiedzi, tezy i antytezy, specjalna dialektyka duchowa. Miał ją na myśli Hegel, szukając sensu historii; Nietzsche określał ją jako dialog szczytów; w platońskiej tradycji wyraża ją symbol pochodni, podawanej z rąk do rąk. Duch twórczy nie społeczywa i ani wola jednostek, ani interesy klas nie mogą zahamować jego rozwoju. Dzieje nauki i dzieje sztuki ujawniają wyraźnie tę swobodę twórczą, pobudzającą własną problematyką. Podobnie ponad walką klas żyją idee moralne.

Tworzenie i konsumowanie określają zatem dwie różne funkcje życia ludzkiego. Kultura i cywilizacja mogą być ze sobą w harmonijnej zespolenia i mogą się sobie przeciwstawiać. W pierwszym wypadku twórczość znajduje właściwe echo wśród odbiorców, a życie ich upływa zgodnie z wymaganiami twórców. Idee i hasła znajdują oddźwięk w rzeczywistości, interesy nie przeciwstawiają się głoszonemu zasadom. Inaczej w drugim wypadku. Wówczas zachodzi rozdźwięk między tokiem tworzenia wartości i stylem życia codziennego. Prawa i instytucje rozwijają się inaczej, niż wymagają tego ideały. Między powinnością i rzeczywistością zachodzi konflikt. Kultura traci wpływ na cywilizację, traci środowisko oddziaływania, staje się bądź abstrakcją, bądź zarzewiem buntu.

Jakie czynniki rządzą temi procesami? Kiedy i dlaczego zachodzi zgodność między tworzeniem i konsumowaniem, kiedy zaś i dlaczego powstaje rozbieżność? Są to pytania, na które de Man próbuje dać odpowiedź, analizując historję mieszczaństwa Europy zachodniej. W zaraniu jego dziejów, w średniowieczu, idee i interesy rozwijały się równolegle. Walczące z feodalizmem mieszcza-

stwo wytwarzało ideologję nowej wartości ludzkiej, ideologję ceniącą wolność, pracowitość, naukę. Zwycięskie mieszczaństwo stało się warstwą posiadającą i czerpiącą zyski bez pracy; zaczęło się przeciwstawiać nie „górze”, lecz „dolowi” społecznemu, zasmakowało w wygodach i w zbytku, który dawniej potępiało w arystokracji rodowej. Ale rozbudzone idee nie zamarły: badania naukowe, szacunek dla pracy, hasła równości, sztuka świecka poszły naprzód swoją drogą, niezależnie od stylu życia mieszczańskiego. W ten sposób nastąpił rozłam. Zrozumienie tego rozłamu pozwoli nam sprawiedliwie ocenić kulturę mieszczańską. Bez odróżnienia bowiem twórczości i konsumcji oznaczamy niesprawiedliwie wspólnem mianem kultury mieszczańskiej rzeczy tak różnej wartości jak: współczesny dancing i filozofję Kanta, wojnę imperjalistyczną i sztukę Rembrandta, światowy handel i IX symfonję Beethovena, deklarację praw człowieka i prasę codzienną. Socjalizm przeciwstawia się mieszczańskiemu stylowi życia, mieszczańskiemu cywilizacji. Nie przeciwstawia się natomiast wcale mieszczańskiemu kulturze. A nawet można powiedzieć — jak to usiłuje de Man wykazać — iż jest on prawym spadkobiercą tej ideologii człowieka, nauki i pracy, którą rozbudziło dawne mieszczaństwo i którą następnie zdradziło. W swej walce z burżuazją posługując się proletariatem, którą walczyło niegdyś mieszczaństwo z arystokracją feodálną.

Ta analiza historyczna zdaje się przekonywać, iż harmonia między tworzeniem i spożywaniem zachodzi w epokach wzrostu społecznego, rozbieżność natomiast zachodzi w okresach krytycznych, w czasach starzenia się. Dokładniejsze zbadanie tych różnych sytuacji wysławiłoby mechanizm przemian kultury, już teraz wszakże — konkluduje de Man — widać to jasno, iż sztywny schemat podłoża i nadbudowy nie może wystarczająco ująć zjawiska kultury. Przeciwnie, stworzenia i konsumowania stanie się być może kluczem, otwierającym drogi do tajemnic dotychczas zakrytych.

TRADYCJA SOCJALIZMU

Rewizjonizm marksizmu, jaki przeprowadza w swych studjach znakomity socjalista belgijski de Man, ma inny charakter, niż prąd rewizjonizmu na przełomie XIX i XX wieku. Wówczas chodziło raczej o zagadnienie interpretacji i metodologii, a sposób ujmowania zagadnień nie różnił się zasadniczo od tego, co było uznawane dawniej w literaturze socjalistycznej. Myśl de Mana natomiast różni się zasadniczo swym „stylem” od marksizmu niemieckiego: ma francuską jasność i celowość dowodzenia oraz angielskie wycucie prawd konkretnych. Umie on widzieć wielkość autora *Kapitału*, nie przesłoniętą formułkami dogmatów i sztywnością specyficzną niemieckiej terminologii. Umie obserwować życie i wyciągać stąd wnioski teoretyczne, nie hacząc na to, iż nie może ich odnaleźć w tekstach pism Marxa. Dostrzegają on jasno piętno, jakie na doktrynie socjalizmu wycisnęła epoka: stan ówczesnej nauki i stan ówczesnego gospodarstwa. Wie, iż dziś jesteśmy bogatsi w doświadczenia z obu tych dziedzin i że dlatego winniśmy samodzielnie przemyśleć doktrynę Marxa, oddzielając jego trafne intuicje od fałszywych uzasadnień. Parafrazując tytuł książki Crocego o Heglu, można powiedzieć, iż tematem prac de Mana jest odpowiedź na pytanie: co jest żywe i co jest martwe w myśli Marxa?

W książce p. t. *Au delà du marxisme* usiłował de Man dokonać adaptacji socjalizmu do współczesnej psychologii; w nowem «wem dziele (*L'idée du socialisme*, Paris 1935)

pragnie ukazać, zgodnie z nowymi wynikami badań historycznych, genezę ideologii socjalistycznej. Potocznie uchodzi ona za zaprzeczenie gospodarki i kultury burżuazyjnej. Stanowisko takie nie jest jednak słuszne. Zarówno tam, gdzie kultura socjalistyczna powstaje (np. w Rosji), jak i tam, gdzie się o niej marzy i do niej dąży (w związkach robotniczych), widać wyraźnie, iż bardzo wiele z tego, co należało do kultury burżuazyjnej, ostaje się i nadal, a nawet jest silniej jeszcze akcentowane. Socjalizm nie zrywa przecież ciągłości twórczej linii rozwojowej ani w nauce ani w sztuce. A nawet — i to stanowi główny temat badań de Mana — nie zrywa z burżuazyjną tradycją w zakresie moralno-społecznym.

Aby tę „herezję” uzasadnić, analizuje de Man okres narodzin ideologii mieszczańskiej w średniowieczu. Tam bowiem, w okresie X — XIII wieku, dokonał się zasadniczy przewrót duchowy, powstał nowy sposób patrzenia na świat, na człowieka, na pracę, na społeczeństwo. Był to okres odradzającej się radości życia, okres uwolnienia od lęku śmierci i grzechu. Porządek naturalny zaczął zyskiwać uznanie, a przeswietlony iaską boską zaczął stanowić właściwe środowisko życia ludzkiego. Człowiek nabrał zaufania do siebie, do swych sił, do świata. Rozum został powołany do uczestniczenia w życiu ludzkim, do współdziałania w dziele zbawienia, do urządzania świata. Jednostka, szczególnie w miastach, uwolniona od despotyzmu i poniżenia, poczyniała w pracy widzieć sens swego życia i narzędzie własnej przyszłości. Wartość pracy, wartość rozumu i wartość osoby ludzkiej zaznaczyły się wyraźnie jako ideały, oparte na wierze w znaczenie i powołanie człowieka na ziemi.

Ten właśnie punkt widzenia zowie de Man humanizmem religijnym średniowiecza, wyprzedzającym humanizm świecki renesansu. Jego przejawy szczytowe znajdują się w filozofji św. Tomasza, w poezji Dantego, w malarstwie Giotta, w architekturze i witrażach katedr gotyckich we Francji. Te nowe zasady ideologiczne popularyzował dominikanin, Wincenty z Beauvais, przekonywając współczesnych w *Speculum Magnum*, że „praca uwalnia nas z ciężaru tych konieczności, którym ulega nasze ciało od chwili grzechu pierworodnego, a nauka wyzwala nas z nieświadomości, która od owego czasu zaciemnia nasz umysł”.

Ta nowa ideologia przeciwstawia się dawniejszej ascetycznej, klasztornej, odwróconej od życia postawie religijnej, ideałom arystokracji feudalnej, głoszącym wartość posiadania i użycia, kulturze rycerskiej, ceniącej odwagę i honor wojenny. Miarą człowieka staje się jego zasługa, jego działalność, jego udział w pokojowej pracy cywilizacji. Mieszczaństwo podejmuje walkę z przesądami urodzenia, z przywilejem lenistwa, ze skrepowaniem człowieka wolą Kościoła, więzami absolutyzmu, prawami stanowymi. Od wczesnego humanizmu religijnego epoki średniowiecznej, przez renesansowy humanizm aż do ideologii oświecenia, plynie ten prąd wiary w człowieka, w pracę. Prąd pobudzający i twórczy kulturalnie, buntowniczy i wyzwalający społecznie.

Ale ta rozwijająca się i potężniejszą w ciągu wieków ideologję rozmiąjała się coraz bardziej z życiem. Mieszczaństwo bowiem, w miarę dokonywającego się zwycięstwa nad arystokracją, stawało się powoli warstwą posiadającą. Jego postawa walcząca przemieniała się w postawę obronną. Jego wrogiem przestawała być warstwa wyższa, arystokratyczna. Wrogiem stawała się warstwa niższa: proletariatu. I oto, jak tłumaczy de Man, mieszczaństwo zdradziło własną ideologję. Epoka współczesna, epoka kapi-

talizmu, jest jaskrawym zaprzeczeniem tych idealów, z których wyrosła: kultura rozumu, szacunku dla pracy, swobody człowieka. Nigdy tak ostro, jak w czasach nowożytnych, nie ujawnił się rozdział między tem, co istnieje, a tem, co być powinno, między tem, co się robi, a tem, w co się wierzy. Chrześcijańska miłość bliźniego i konkurencja kapitalistyczna, równość praw jednostek i hierarchia klas, ideał kultury osobowej i upośledzenie mas pracujących, ideał pokoju i powszechne zbrojenia, humanitaryzm i nacjonalizm, kultura pracy i pogarda dla pracowników ręcznych — oto krótka lista przeciwieństw, zachodzących między światem idei i rzeczywistością. Podobne przeciwieństwa zachodzą między twórczością i konsumpcją kulturalną w świecie burżuazji. Spożywanie kultury rządzone jest w tym świecie powierzchowną modą i szablonem, twórczość zaś nie może znaleźć ostoi i poparcia w tym świecie, dającym do zysku, do użycia, do posiadania. Szacunek dla twórców, będący dawniej wyrazem dumy mieszczańskiej i wyrazem odczucia własnej godności, zamiera, oceniany jest bowiem jako niebezpieczny, destrukcyjny społecznie.

Zdradzone sztandary podejmuje socjalizm. Istota socjalizmu polega bowiem na dążeniu do stworzenia społeczeństwa sprawiedliwego, społeczeństwa braterstwa. Przez pracę, przez naukę, przez miłość zwolnić każdego człowieka z ucisku form społecznych i z nieporadności własnej — oto jego zadanie. Stara, burżuazyjna idea wyzwolenia przez pracę zyskuje tu nowy sens w walce z warstwą burżuazyjną, która ją zdradziła i która broni kultury posiadania. Stara, burżuazyjna idea wolności człowieka odradza się w ruchu socjalistycznym jako oręż przeciw nowej, kapitalistycznej opresji. Stara, burżuazyjna idea nauki odzyskuje siłę społeczną, którą straciła w dorobkiewiczowskim środowisku fabrykantów i rentjerów. Socjalizm jest tedy zarazem spadkobiercą i zwycięzcą kultury burżuazyjnej. Jest wyzyskaniem jej twórczości kulturalnej, rozbudzeniem przez nią procesu idei. Jest przewyciężeniem jej stylu życia, jej ograniczeń, jej rzeczywistości społeczno-gospodarczej.

W takim ujęciu stosunku socjalizmu do burżuazji w zakresie kultury widzi de Man analogię ze stanowiskiem Marxa, który określał stosunek socjalizmu do kapitalizmu w dziedzinie gospodarczej. Socjalizm mianowicie miał, zdaniem Marxa, przejść z epoki kapitalistycznej to, co było jej siłą twórczą: technikę, gospodarkę w skali światowej, organizację pracy. Odrzucić zaś miał sposób użytkowania sił produkcyjnych: zasadę własności, prawo zysku, podział na klasy. Socjalizm zatem wyzyskuje ale i przewycięża gospodarkę kapitalistyczną i ten jego podwójny stosunek tradycji w zakresie rozwoju ekonomicznego odpowiada dokładnie podobnemu dwoistemu stosunkowi w zakresie ideologii kulturalnej.

Stwierdzając, iż socjalizm podejmuje zdradzony sztandar idealów burżuazyjnych i wykazując w jego ideologii składniki tradycyjnych idealów, nie zaprzecza de Man całkowicie jego oryginalności. Ogranicza ją jednak znacznie, widząc ją tylko w szacunku dla pracy fizycznej oraz w idei solidarności życiowej pracowników. Ograniczenie to jest jednak ukazaniem jego wielkości dziejowej. W świetle teorii de Mana dotychczasowy bieg historii nie jest bolesną pomyłką, ale drogą ku sprawiedliwości, socjalizm zaś nie jest całkowitem zaprzeczeniem tradycji, ale jej dopełnieniem. Dzieje zyskują ciągłość, socjalizm — historyczne perspektywy. Teoria rozwoju kulturalnego odsłania nowe prawdy: twórczość nie jest „nadbudową” w stosunku do procesów gospodarczo-społecznych, jest samodzielnym procesem osiągnięć. Idee nie zawsze są jedynie wyrazem i narzędziem interesów. Często są również i sądem, przed którym ocenia się godziwość dążeń i potrzeb. Idee, nawet zdradzone przez klasę, która je kiedyś zrodziła, żyją i działają, wzywając do służby inne, nowe warstwy społeczne.

Stanowisko de Mana, oceniające historyczne pojęcia socjalizmu, nie jest tak oryginalne i świeże, jak dokonana przez niego dawniej krytyka ideowo-psychologiczna. Już w dawniejszej literaturze socjalistycznej można znaleźć uświadomienie tych prawd, które w sposób niejednokrotnie krańcowy wygłasza teraz de Man. Warto wszakże wspomnieć, iż specjalne pokrewieństwo zachodzi między temi poglądami a t. zw. prawem retrospekcji przewrotowej, sformułowanym przez K. Krauzę na schyłku ubiegłego stulecia. Przekonanie Krauzy, iż wszelkie ruchy rewolucyjne poszukują zawsze oręża i hasła w przeszłości, znajduje wymowny wyraz w historycznych wywodach de Mana. Analiza zaś teorii Krauzy, dokonana przez Abramowskiego, kładzie nacisk na doniosłość stosunku potrzeb do zdolności wtwórczych, podobnie jak to uczynił de Man, wykazując dialektyczne naniecie, zachodzące między tworzeniem i użytkowaniem kultury.

Bardzo to wesoły obrazek owego Turka-Ingardena, spacerującego między literatami, ale obrazek daleki od rzeczywistości. Nigdy bowiem nikomu nie zalecałem, żeby czekał z założonymi rękami aż „fenomenologia” (!) wykona pracę za niego. Powiedziałem tylko w dyskusji po referacie prof. Grabowskiego, że rozważania meta-metodologiczne uważam dziś za „przedwczesne”. Mało ważną przytem sprawą jest, czy to „filozoficzne” stanowisko (zwłaszcza, że trzeba by się wprawdzie porozumieć, co to ma znaczyć!); istotne jest tylko, czy to stanowisko słuszne, czy niesłuszne. Otóż nie wątpię, że *spiritus flat ubi vult* i że ostrzeżenia, iż pewna robota jest przedwczesna, nie wiele w praktyce pomogą. Ale nie mniej prawdą jest, że istnieje pewna czysto rzeczowa kolejność zagadnień i prób ich rozwiązania i że kto jej nie zachowuje, naraża się na niepowodzenie. Zapewne, zdarzają się geniusze, którzy mimo niezachowania tej kolejności dają rzeczy wysoce wartościowe. Ale nie wszyscy są geniuszami, a i geniusze narażeni są często na niepowodzenie. Genjalną zapewne była myśl Lionarda, że można i należy budować aparaty do latania cięższe od powietrza, ale prawdą też jest, że aparaty przez niego budowane spadały i rozbiły się nieuchronnie. Przedwczesne były jego próby rozwiązania zagadnienia i były takie dopóty, dopóki nie wynaleziono lekkich silników spalinowych.

Podobnie się rzecz ma i w naszej sprawie. Prof. Grabowski — w bardzo interesującym i przejrzystym referacie — dał nam próbę „teorii literatury” i tę to próbę nazwał „przedwczesną”, choć niewątpliwie pożyteczną. Przedwczesną, albowiem musi być zachowana kolejność w opracowywaniu zagadnień, jeżeli ryzyko popełnienia błędów ma być ograniczone do minimum. A kolejność tych zagadnień w rozważanym wypadku wydaje mi się następująca: (1) badanie poszczególnych dzieł literackich (co z pewnymi wadami czyniono oddawna); (2) próba ogólnej teorii dzieła literackiego; (3) w ścisłym związku z jej (tymczasowymi) wnioskami, uświadomienie sobie, w jak zbudowanych aktach i w jakich zespołach aktów poznawczych poznajemy poszczególne dzieła literackie, tudzież, jakie są kryteria obiektywności ich poznania (teoria poznania dzieła literackiego); (4) rozważania metodologiczne, a więc rozważenie sprawy, jakie odpowiednio dobrane środki i sposoby poznawania należą stosować przy noznawaniu poszczególnych dzieł literackich, aby wyniki uzyskane były jak najdoskonalsze, a tech-

BOGDAN SUCHODOLSKI

„MONACHOMACHJI HUMANISTYCZNEJ” CIĄG DAJSZY

Wśród znanych mi sprawozdań ze Zjazdu I. Krasickiego jedynie artykuły K. Irzykowskiego są wyrazem próby zajęcia samodzielnego stanowiska wobec twierdzeń i poglądów, które wypowiedziano na Zjeździe w odczytach i dyskusjach. Irzykowski stara się wprawdzie przede wszystkim przedstawić obiektywnie przebieg obrad Zjazdu, zarazem jednak zarówno przez wybór spraw, o których referuje, jak i przez rozsiadanie tu i ówdzie własne uwagi, zaznacza dość wyraźnie swe stanowisko, a przynajmniej swoje sympatje. W sporze o nowe metody badania literatury przechyla się raczej na stronę „sceptyków”, co wyraża się m. i. w tem, że skrętnie notuje wszystkie głosy „sceptyków”, nawet takich, którym się wszystko „jasne i proste” wydawało¹. Sympatje Irzykowskiego dla „sceptyków” płyną — jak sądzę — m. i. stąd, że wskutek pomieszania w toku dyskusji zjazdowych wielu spraw, nie mających z sobą nic wspólnego, Irzykowski traktuje nowe prądy w metodach badania dzieł literackich przede wszystkim *sub specie* swej zdawna prowadzonej „walki o treść”. Otóż sądzę, że może pożyteczną rzeczą będzie zwrócić choćby szkieco uwagę na pomieszanie różnych, obcych sobie spraw, popełniane w dyskusjach na Zjeździe, i postarać się o ich usunięcie. Może uda mi się przy tem pokazać, że K. Irzykowski, pozostając na swem stanowisku „walki o treść”, może nie odnosić się „sceptycznie” do wszystkiego tego, co niesie t. zw. „nowa nauka o literaturze”.

Zaczęło od odparcia zarzutu Irzykowskiego pod moim adresem. Otóż wedle Irzykowskiego mam być „Turkiem” jakowymś czy „protestantem”, który chodzi wśród literatów i namawia ich, żeby sami nie robili, jeno czekali, aż fenomenologia wyanalizuje dzieło literackie „jako takie” (!). Przyczem to — rzekomo przeze mnie zajmowane — stanowisko ma być niefilozoficzne.

Bardzo to wesoły obrazek owego Turka-Ingardena, spacerującego między literatami, ale obrazek daleki od rzeczywistości. Nigdy bowiem nikomu nie zalecałem, żeby czekał z założonymi rękami aż „fenomenologia” (!) wykona pracę za niego. Powiedziałem tylko w dyskusji po referacie prof. Grabowskiego, że rozważania meta-metodologiczne uważam dziś za „przedwczesne”. Mało ważną przytem sprawą jest, czy to „filozoficzne” stanowisko (zwłaszcza, że trzeba by się wprawdzie porozumieć, co to ma znaczyć!); istotne jest tylko, czy to stanowisko słuszne, czy niesłuszne. Otóż nie wątpię, że *spiritus flat ubi vult* i że ostrzeżenia, iż pewna robota jest przedwczesna, nie wiele w praktyce pomogą. Ale nie mniej prawdą jest, że istnieje pewna czysto rzeczowa kolejność zagadnień i prób ich rozwiązania i że kto jej nie zachowuje, naraża się na niepowodzenie. Zapewne, zdarzają się geniusze, którzy mimo niezachowania tej kolejności dają rzeczy wysoce wartościowe. Ale nie wszyscy są geniuszami, a i geniusze narażeni są często na niepowodzenie. Genjalną zapewne była myśl Lionarda, że można i należy budować aparaty do latania cięższe od powietrza, ale prawdą też jest, że aparaty przez niego budowane spadały i rozbiły się nieuchronnie. Przedwczesne były jego próby rozwiązania zagadnienia i były takie dopóty, dopóki nie wynaleziono lekkich silników spalinowych.

Podobnie się rzecz ma i w naszej sprawie. Prof. Grabowski — w bardzo interesującym i przejrzystym referacie — dał nam próbę „teorii literatury” i tę to próbę nazwał „przedwczesną”, choć niewątpliwie pożyteczną. Przedwczesną, albowiem musi być zachowana kolejność w opracowywaniu zagadnień, jeżeli ryzyko popełnienia błędów ma być ograniczone do minimum. A kolejność tych zagadnień w rozważanym wypadku wydaje mi się następująca: (1) badanie poszczególnych dzieł literackich (co z pewnymi wadami czyniono oddawna); (2) próba ogólnej teorii dzieła literackiego; (3) w ścisłym związku z jej (tymczasowymi) wnioskami, uświadomienie sobie, w jak zbudowanych aktach i w jakich zespołach aktów poznawczych poznajemy poszczególne dzieła literackie, tudzież, jakie są kryteria obiektywności ich poznania (teoria poznania dzieła literackiego); (4) rozważania metodologiczne, a więc rozważenie sprawy, jakie odpowiednio dobrane środki i sposoby poznawania należą stosować przy noznawaniu poszczególnych dzieł literackich, aby wyniki uzyskane były jak najdoskonalsze, a tech-

¹ Zaznaczając się u Irzykowskiego także pewne sympatje dla „OO. Metodystów” płyną nie z uznania propagowanych przez nich metod, lecz z potraktowania ich jako swoistego rodzaju twórczości (a więc właśnie przy abstrahowaniu od poprawności i użyteczności propagowanych metod).

nika ich uzyskiwania prosta i niezawodna; z rozważań tych płynie konstrukcja poprawnej metody, jakoteż system przepisów metodycznego poznawania dzieła literackiego²; (5) rozważania „meta-metodologiczne”; nazwać tak pragnę rozważania, których przedmiotem są metody poznawcze, stosowane w pewnej dziedzinie.

Otóż rozważania prof. Grabowskiego należały do tak pojętej meta-metodologii. Wydały mi się one o tyle przedwczesne, że jakkolwiek w tej chwili posiadamy już pewne próby zbudowania ogólnej teorii dzieła literackiego (przyczem dyskusja na ten temat nie jest jeszcze skończona), to zupełnie brak teorii poznania dzieła literackiego³. A tem samem wszelkie rozważania metodologiczne i meta-metodologiczne muszą być zgóry narażone na niepowodzenie. Jeżeli bowiem nie wiemy jeszcze z całą pewnością, jaka jest ogólna struktura dzieła literackiego, i nie wiemy prawie nic z tego, jak są zbudowane akty poznawcze, w których poznajemy dzieła literackie, to jak możemy się zastanawiać owocnie nad sprawą, jaką metodę należy obrać, żeby poznanie poszczególnych dzieł literackich było jak najsprawniejsze i dało obiektywne wyniki?

T. zw. „żywym dowodem” na to, że niezachowanie kolejności w rozwiązywaniu zagadnień naraża nas na liczne niebezpieczeństwa, mogą być w znacznej mierze właśnie dyskusje, jakie toczono na Zjeździe Krasickiego na temat metod badania dzieł literackich. Toczono je bowiem właśnie w warunkach takich, że większość dyskutujących nie miała wyjaśnionych podstawowych pojęć i twierdzeń z ogólnej teorii dzieła literackiego, a tam bardziej z teorii jego poznawania. Mieszano w następstwie tego różne sprawy ze sobą, toczono spory tam, gdzie przynajmniej częściowo można było dojść do porozumienia i t. d.

Jakież to były zagadnienia, których wyraźnie nie odgraniczono? Są one następujące:

1. Co jest właściwym przedmiotem badań literackich?

W zasadzie wszyscy już dzisiaj godzą się, że właściwym przedmiotem wiedzy o literaturze jest dzieło literackie. Lecz zarówno w praktyce, jak i w programach metodologicznych, drogi badaczy literatury znacznie się rozchodzą. Albowiem nie zostały dotychczas należycie wyjaśnione i wyraźnie odróżnione od siebie inne sprawy, ściśle związane z pytaniem (1). A mianowicie:

2. Co to jest dzieło literackie?

3. Które czynniki czy momenty dzieła literackiego decydują o jego wartości artystycznej?

4. Czy tylko wartości artystyczne dzieła, czy także inne jego walory mają być wzięte pod rozważenie przy jego ocenie?

5. Czy dzieło literackie, jako dzieło sztuki pewnego rodzaju, można poznać wiernie, ograniczając się wyłącznie do analizy jego budowy i jego cech, czy też trzeba koniecznie sięgnąć prócz tego jeszcze do czegoś innego, poza samym dziełem?

6. Czy na analizie swoistej struktury i wartości dzieła literackiego (pewnego określonego, np. *Wesela* Wyspiańskiego) ma się wyczerpywać wiedza o literaturze, czy też istnieją w jej obrębie jeszcze inne zagadnienia, np. historyczne, zagadnienia twórczości artystycznej, roli literatury w kulturze i t. d.

Nie mogę tu omawiać wszystkich nieporozumień, jakie wyłoniły się na Zjeździe zarówno z nieodróżnienia przeciwstawionych tu pytań, jak i z braku jasnej i zdecydowanej odpowiedzi na poszczególne pytania. Dla przykładu wymienię tylko niektóre z takich nieporozumień.

Dziś już prawie wszyscy godzą się na to, że dzieło literackie jest tworem wielowarstwowym. Niektórzy tezę tą tak dalece się nawet przejęli, że uważają ją za swoją własną. Mimo to jednak u wielu teoretyków literatury wiedza o tem, co to jest dzieło

² Zazwyczaj nie odróżnia się u nas wyrażenie teorii poznania (ogólnej i szczegółowej) od metodologii. Uważam to za błąd. Teoria poznania ma za zadanie przeprowadzenie opisu typowych operacji poznawczych w odniesieniu do nowych przedmiotów poznania, wykreślenie podstawowych wartości poznawczych i ustalenie kryteriów obiektywności poznania, a wreszcie przeprowadzenie oceny faktycznie uzyskiwanych w pewnej dziedzinie poznania. Całkiem odmienne zadanie ma metodologia. Ma ona skonstruować idee celowo zorganizowanych zabiegów poznawczych (a więc „metody”), jakoteż podać odpowiednie dyrektywy postępowania. Teoria poznania nie musi prowadzić do metodologii. Metodologia natomiast nie może obejść się bez teorii poznania.

³ Tę zasadniczą lukę, bez której usunięcia wszelkie dyskusje metodologiczne muszą się gubić w ogólnikach i rozbijać o brak wyjaśnionych pojęć podstawowych, miał wypełnić choćby tymczasowo mój referat na Zjeździe p. t. *Formy poznawania dzieła literackiego*.

DAWNA IDYLLA

Pragnąć. — *Altana w zielonkawych plamach*
Poranka, cieniem punktowana drobny,
Ławka, żywicią wonną rozgrzana, — *ta sama,*
Zbryzganych, rozchylonych kwiatów zapach chłodny.

Sluchać. — *Skrzypienia piasku pod kroki ostrożne...*
Powieki, ciężkie od farby żaluzje,
Południe woskiem skleja. *Z westchnieniem-by można*
Wystrzelić w samo serce śrutem z fuzji.

Wśród brzoź białych staw wabi, jak lustro wieczoru
Na mostku bielejącym żółtawe skry cygar.
Fujarek melodyjnych pod księżycem stara
Muzyka z jękiem ginie u czarnego boru.

Jeszcze czołnem podpłynąć aż do wodopoju,
Niechętnie w toni mętnej łowić mgliste rysy.
Krowy lśniący nurzają pysk, rozparte stoją.
Pnące śliskie, jak dłonie, które spleść się boją,
Dygocą trwożnym kolysem.

STEFAN NAPIERSKI

*

WIECZÓR NA WSI

Nad niebo przekwitłe w zachód ogromny się księżyc wytoczy,
sycący noce jaśminem, tak samo jak w całej Polsce —
gdzie mam odmierzyć tęsknotę spojrzenia dalekich oczu,
kiedy zostają przed nocą u ludzi smutnych i obcych?

Gwiazdy opadły w godziny, zrywane jak jabłka z jabłoni,
rozdzwonił się ptak przezroczy w drzewach przysiadłych
pod oknem —
pamiętam szerokie łąki, pamiętam pasące się konie
z zatartych krajobrazów lipca zeszłego roku.

Przed ósmą mgły nad łąką i kwiaty pachną uajmocniej,
czerwone jabłka spadają w wysoką, mięsistą trawę —
idziemy na długi spacer przed ciężką, upalną nocą,
tęskniący za zwykłym wieczorem w Alejach na lawce
w Warszawie.

ALEKSANDER CZYZEWSKI

literackie, kończy się na tem twierdzeniu⁴. Natomiast sprawa zasadnicza: stosunek dzieła literackiego do twórcy i jego przeżyć, a w szczególności twierdzenie, że dzieło literackie nie jest zespołem przeżyć psychicznych autora czy czytelnika, lecz jest ich wytworem, stanowiącym w stosunku do przeżyć całość zupełnie odrębną — nie dotarło jeszcze do świadomości wielu dyskutujących. Jeszcze wciąż pokutuje psychologiczne ujęcie dzieła literackiego. Wciąż jeszcze mówi się lub myśli o „dziele w umyśle autora” i t. d. Wskutek tego wielu z badaczy nie może pojąć, w jaki sposób można analizować dzieło, nie badając (z a m i a s t dzieła) osoby i przeżyć jego twórcy. W następstwie tego nietylko w praktyce naukowej mówi się i pisze np. zamiast o dziełach Słowackiego o samym Słowackim i jego przeżyciach, ale i w przemówieniach programowych zażarcie walczy się o to, że przede wszystkim należy zajmować się psychiką twórcy i t. d. Inni znowu wprawdzie godzą się już na to, że dzieło literackie stanowi całość dla siebie odrębną i różną od wszelkich przeżyć świadomych, ale zarazem nie odróżniwszy wyraźnie pytania (2) i (3) i uważając, że jedynie momenty „formalne”, t. zw. „forma” dzieła decyduje o jego wartości artystycznej, głoszą, że dzieło literackie jest wogóle tworem formalnym i że wobec tego nauka o literaturze ma za wyłączne zadanie wyjaśnienie zagadnień formalnych. A wówczas antyformalności — znów wyraźnie nie odróżniwszy pytań (2) i (3), a zarazem mieszając dzieło literackie z przeżyciami i t. zw. „ideami” autora i stawiając przytem najwyższe w dziele jego czynniki „treściowe”, — stają się wogóle „ceptykami” w stosunku do tego programu badań literackich, który na pierwsze i jedyne miejsce wśród przedmiotów badania wysuwa samo dzieło literackie, wykluczając wszystko inne z obrębu wiedzy o literaturze. W rzeczywistości ani jedni ani drudzy nie mają w całości swego stanowiska racji. Obie strony padają ofiarą nieodróżnienia przez siebie zasadniczo odmiennych spraw, myślą się, bo nie zachowali kolejności, w jakiej zagadnienia muszą być opracowywane, by można było uzyskać poprawne ich rozwiązanie.

⁴ Przytem znane im jest to twierdzenie tylko „ze słyszenia”, z drugiej i dziesiątej ręki. Nie znają zaś szczegółowego rozwinięcia tej tezy. Wskutek tego wygłaszają oni nieraz takie twierdzenia, jako zarzuty skierowane przeciw mojej książce o dziele literackim, które w tejże książce występowały jako składniki mojej teorii. Tu należy np. kilkakrotnie wypowiedziany „zarzut”, że „poszczególne warstwy nie istnieją oddzielnie”, lecz są „spojone w jednolitą całość, w żywy organizm”. Tymczasem jest to właśnie jedno z moich twierdzeń. Cały wysiłek przy pisaniu mojej książki włożyłem w to, żeby pokazać szczegółowo, w jaki to sposób z budowy poszczególnych warstw dzieła płynie ich organiczne z sobą powiązanie w całość dzieła literackiego. Być może, że ten stan rzeczy płynie m. in. z tego powodu, że książka moja istnieje tylko w języku niemieckim. Ale to doprawdy nie moja wina. Kilka dni temu próbowałem brakowi temu w pewien sposób zaradzić, ale spotkałem się znowu z odmową.

⁵ Z konieczności, dla zachowania cudzej terminologii, muszę się tu tym terminem posługiwać, choć pragnąłbym go uniknąć, albowiem sądzę, że jednym z źródeł licznych nieporozumień i sposobów jest ogromna wieloznaczność zarówno słowa „forma”, jak i słowa „treść”. Jakie mogą być różne znaczenia tych wyrazów i w jakim znaczeniu należałoby ostatecznie mówić o „formie” dzieła literackiego (pewnego określonego), to jedno z zadań teorii literatury, domagające się jak najszybszego rozwiązania.

Jeżeli natomiast odróżnimy wyraźnie przeciwstawione tu zagadnienia i uda się nam uzyskać trafne rozwiązanie, to możemy powiedzieć: Antyformalności (np. K. Irzykowski) mają rację, domagając się, żeby w badaniu dzieła literackiego jako dzieła sztuki uwzględnić prócz czysto formalnych jego momentów także t. zw. jego „treść” (wszystko to bowiem razem dopiero stanowi dzieło literackie); ale stąd nie wynika wcale, żeby nie dzieło literackie miało stanowić główny i jedyny przedmiot badań nauki o literaturze. I odwrotnie t. zw. „formalności” (np. prof. K. Kridl) mają rację, domagając się, żeby właściwym przedmiotem nauki o literaturze było dzieło literackie i żeby do nauki tej nie wprowadzać żadnych obcych dzieł przedmiotów czy czynników, ale nie wynika stąd znów wcale, żeby badanie dzieła literackiego ograniczyć wyłącznie do t. zw. „formy” i żeby jeno w tej „formie” miała leżeć wartość artystyczna dzieła, lub co więcej, żeby ta „forma” miała samo dzieło stanowić.

Podobnie: istnieją tacy, którzy wyraźnie odróżniają dzieło literackie i jego własności od przeżyć twórcy czy czytelnika i którzy też dzieło samo chcą zrobić obiektem badania nauki o literaturze. Powiadają jednak zarazem: ażeby wiernie poznać dzieło literackie pewnej minionej epoki w pełni jego walorów artystycznych, trzeba prócz analizy samego dzieła sięgnąć jeszcze (jako do środka pomocniczego) do pewnych różnych od dzieła przedmiotów, a więc np. do osobowości twórcy, do warunków, w których dzieło powstało, do współczesnej mu atmosfery kulturalnej i t. d. (takie stanowisko zajął, o ile go dobrze rozumiem, prof. Kleiner). Ale wówczas — znów wskutek nieodróżnienia różnych spraw podstawowych — wyznawcy dawnych metod badania klaszczą w dłonie i — pomieszawszy pytanie (2) z (5) — powiadają: a więc „na nasze wychodzi!” T. zw. formalności natomiast, pomieszawszy kwestje (2), (3) i (5), widzą w stanowisku prof. Kleinera radykalne przeciwieństwo do swego stanowiska, choć w rzeczywistości różnica sprowadza się tu głównie do tego, że prof. Kleiner uznaje potrzebę znalezienia pewnej takiej drogi poznawczej do uchwycenia swoistych własności dzieła, której w praktyce może być i t. zw. formalności nie odrzucili, choć na pierwszy plan wysuwają analizę samego dzieła. I t. d. I tutaj znowu doszłoby łatwiej do zgody, gdyby zostały uprzednio wyjaśnione sprawy podstawowe.

Ceterum censeo: Trzeba najpierw opracować jak najdokładniej ogólną teorię dzieła literackiego jako dzieła sztuki, potem zżadać sposoby poznawania dzieła i jego percepcji estetycznej, a potem dopiero próbować stawiać takie lub inne programy metodologiczne. A tymczasem oczywiście każdy z badaczy literatury będzie badał poszczególne dzieła tak, jak mu to każe jego własny instykt badawczy. I jeżeli instykt ten jest trafny, wykryje z pewnością istotne cechy dzieł przez siebie badanych. Tego „instyktu” nie nie zdola zastąpić. Ale instykt ten można wspomóc przez odpowiednie wskazania metodologiczne, a tem samem zmniejszyć ryzyko popełnienia błędów. Ale i metodologicznie należy budować — prócz posługiwania się trafnym „instynktem” naukowym — w sposób możliwie metodyczny, to znaczy w szczególności przy zachowaniu odpowiedniej kolejności w opracowywaniu zagadnień. I tego tylko się domagałem.

ROMAN INGARDEN

F O R P O C Z T Y *

Z całkiem innego tworzywa psychologicznego, niż Marja Komornicka, ulepiony był Wacław Nalkowski.

Ścisłość matematyka i intensywność przeżyć, jako źródła prawd — te dwa główne czynniki uformowały jego fizjognomję umysłową.

Jego rozumowanie było zawsze syllogistyczne. Nagromadziwszy w sobie materiał obserwacji i bezpośredniości zapałał, budował tezę, z której wnioski wysnuwał z taką mocą i jasnością formuł, że czyniły wrażenie prawd *a priori*, gdy w rzeczywistości były rezultatem empirji.

Ale nad tą *ordo geometrica* unosily się i nasycaly ją żywą krwią zapalał i nerwem poszukiwani wielkie miłości naukowe, a na ich czele — miłość dla globu ziemskiego i miłość dla istoty ludzkiej i wogóle każdego stworzenia.

Miłość globu uczyniła go geografem, w najpiękniejszym sensie tego słowa. Wyprowadził oblicze ziemi z procesów i przewrotów geologicznych w ten sposób, że fakty geograficzne stawały się nie inwentarzem podręcznikowym, kartografią, stekiem nazw i terminów technicznych, lecz w y p a d k o w ą przemian w skorupie ziemskiej.

* Por. artykuł *Zapomniana awangarda* w poprzednim nrze *Pionu*.

Było to świadome echo wielkich doktryn lipskich. U Nalkowskiego geologia pracowała, żeby stworzyć taki a nie inny obraz ziemi, a więc i Polski. Procesy geologiczne zawczasu predestynowały daną okolicę na wielkie miasto lub na pole wielkiej historycznej bitwy i kształtowały taki lub inny charakter kultury dziejów i przemysłu danego kraju. Historia jest u niego produktem geologii.

To wyprowadzenie kalejdoskopu mapy z praprzyczyn w jądrze ziemi sprawiło, że geografję Nalkowskiego czytało się jak epos wielkiego pobożnika, jak naukowy, pełny dynamiki romans, i do tego szczególnie się nadawał lub może na tem się wyrobił jego muskularny język, pełny przytem powściągliwej a nieszakanej barwności pejzażowej i plastyki.

Było w tem coś z motywowanych pejzażów Johna Ruskina.

Tak pojęta geografja, odsłaniając olbrzymie horyzonty i operując wielkimi, szerokimi ideami, głównie ewolucyjnymi, odrzucała postawę Nalkowskiego w stan oskarżenia wobec archaicznego tabulatury geograficznej. I to już było pierwsze wielkie zadrażnienie, które mu utrudniało drukowanie prac i udzielanie lekcji. W znikomej zaś mniejszości byli ci, co się tą metodą geogra-

fji genetycznej i wylonionem z niej niezwykłym pięknem, delektowali.

Druga miłość — to miłość ludzi. Nalkowski był humanistą nie w nowoczesnym, pacyfistycznym znaczeniu terminu, gdyż byłoby to w sprzeczności z jego kultem bohaterstwa i podziwem dla wielkich wodzów i wspaniałych bitew, lecz w znaczeniu biologicznym, respektował bowiem wszelkie życie, a więc zarówno ludzkie jak i zwierzęce.

Prawdy swoje, swoją, by tak rzec, biofilję nosił z sobą stale, nie krępując się nikim i niczem, wygłaszał je bliskim i otoczeniu i tonem niekiedy nawet narzutliwym, jako stale refreny, jako dogmat i aksjomat, przeciw którym się grzeszy. Rodzina jego była w ich atmosferze wychowana, jak rodzina farmera, który przerabiał dzunglę, i tam zbudował sobie dom dla siebie i dla swoich.

Bowim, w końcu, żeby się od ludzi uniezależnić, zbudował sobie za grosze krwawo zapracowane, chałupę (w Wołominie) prawie ze własnymi rękoma, na paru lokciach wzgórką.

Samowystarczalnie klejąc deskę z deską i „meblując” „fermę” w stylu spartańskim, posiadał źródło koniecznego wypoczynku, którego nie uważał bynajmniej za drogę do rozkoszowania się naturą. To osiedle było częścią jego filozofji, według której powrót do natury świadczy o wielkim zmęczeniu. Rousseau nie miał według niego racji, gdy oparł cały system romantyczno-socjalny na miłości do przyrody. Ludzkość nie do natury dąży, bo tej wprędce zabraknie, lecz do siły, tę zaś odświeżyć można tylko przez obcowanie z naturą.

Takie są myśli rozwinięte w studjum *Forpocztach* p. t. *Natura i siła*, w najwyższym stopniu ciekawem, aczkolwiek w gruncie rzeczy nie dodającym otuchy. Nalkowski był skrajnym ewolucjonistą, ewolucję pojmował jako pochodź świata ku przewadze myśli pod sztandarem heroicznej rezygnacji ze szczęścia i beztroski. Było to zaprzeczeniem takiego np. Herberta Spencera — wówczas jeszcze bardzo poczytnego, z jego radosną przepowiednią, że ludzkość kiedyś będzie chciała więcej używać, niż pracować. Ale było zgodne więcej z prometeizmem, który na płaszczyźnie literackiej rozwijał „ten trzeci” z *Forpoczt* i to pewnie jedna z głównych przyczyn zejścia się tych dwóch współautorów *Forpoczt*.

Nalkowski osobiście przeszedł szkołę walki i wiedział z własnych odczuć, co znaczy pragnąć i potrzebować odpoczynku. Ilość siły w człowieku wyrażała się dla niego w określonej mniej więcej liczbie koni parowych. Nazywał ten „mechaniczny równoważnik człowieka” jego „siłą absolutną” w stosunku do siły względnej, czyli społecznej. Na szczęście siła może się przekazywać, transmitować, przeto ważne są te drogi transmisji i wykorzystywanie ich jaknajbardziej, jaknajwszechstronniej, bowiem powiększenie tej siły powinno być ideałem zarówno pojedynczego człowieka, jak i całej ludzkości.

Łaknienie osobiste przyrostu tej siły było stałym łaknieniem Nalkowskiego. Gdy musiał chorować lub upadać, literalnie zgrzytał swymi wspaniałymi zębami z wściekłości. Potokami lał wtedy sarkazm na społeczeństwo, jako na ten fatalny ustrój, który wymleć chce z jednostki jaknajwięcej mąki, lub który traktuje ją jak wieprza, za pomocą różnych „otamowań” ograniczając jego ruch i funkcje, ażeby w samotnej komorze chlewa — swobodnie rosło sadio.

Nalkowski był profesorem zgrzytu i pogardy dla sybarytów i pogikował się terminami rubaszniemi. Ale one nie były pod jego piórem „miałkiem słowem” rosyjskiem, lecz ścisłą definicją. Na takiej właśnie dosadnej definicji i klasyfikacji opierał głównie swoje przykazania awangardowe, o których mowa była na wstępie. W nich rozszerzył swój pogląd pod wpływem zetknięcia się bliższego z dwiema jednostkami, cechowo krążącymi w sferze literatury pięknej i sztuki. Nalkowski silnie na to zbliżenie zareagował i wciągnął nowych przyjaciel do swoich wywodów i do całego systemu swej ewolucji.

Całe stronicie swych *forpoczt* ewolucji psychicznej poświęcił charakterystyce i rozbirowi *Szkiców* Marji Komornickiej, jako też i tomowi nowel „tego trzeciego” p. t. *W przesileniu* i innym pracom; był w tem bezstronny a nieraz i surowy a zawsze skromny, bo skromność była mu nakazaną przez punkt widzenia siły, jako głównego miernika wartości literackich. Ale też nie szczędził kolegom i superlatywów pochwały. Toż oni właśnie rozszerzyli jego pole widzenia. Oni, jak i on sam, byli dlań *forpocztami*, przednią strażą rozwoju psychicznego. Nie tworzył z nimi a w a n g a r d y w znaczeniu dzisiejszym odrywać się od sztuki już obowiązującej ku nowym jej hasłom, lecz nakreślał perspektywę przyszłości duchowej człowieka. Bez podniety ze strony towarzyszy i bez oburzającego faktu rzucenia się na jednego z nich, z zamiarem stratowania go na śmierć, doktryna Nalkowskiego może nie powstałaby, nie istniałaby, nie byłoby potężnego impulsu i tej potężnej syntezy woli i szlachetnego uczucia, z jakimi odgradzał się

bie i tych dwoje ideowo najbliższych, jako dowody i przykłady nowej formacji duchowej, od całej rzeszy niezdolnej do duchowych antycypacji jutra.

Gdy się to wszystko zważy, to aż fantastycznie dziwnem się staje, że ci co o *Forpocztach* piszą, piszą z takim urąganiem ich prawdzie, ich treści, ich genezie i przedewszystkiem ich u k ł a d o w i p e r s o n a l n e m u. Nalkowski, gdyby żył, zżymałby się odruchami tytana na takie spazczenie i pomniejszenie jego najsilniejszej kampanji ideowo-życiowej i pewnie by zacytował własne swoje słowa z końcowego artykułu *Forpoczt* „o dwóch światach”: „Z jednej strony świat ludzki, świat idei, świat nieskazitelności, świat nauki, i drugiej: świat bez idei, bez zmysłu etycznego, bez kultury umysłowej”. Temu odpowiada taki oto początek książki zbiorowej, zaiste dźwięczący zgrzytem, ale zgrzytem spiżu. O pierwszym z tych światów tam się mówi: „Typy o wielkiej nieproporcjonalności pragnień do możliwości ich urzeczywistnienia, typy, dostarczające największych ilości nowych idei; typy zajmujące wogóle w społeczeństwie stanowiska podrzędne i grające podrzędną rolę w z e w n ę t r z n e m życiu ludzkości w przeciwieństwie do wysoko rozwiniętej indywidualności psychicznej — typy, które ze stanowiska fizjologicznego możnaby nazwać n e r w o w e m i (nerwowcami, mózgowcami) ze stanowiska psychologiczno-ewolucyjnego zaś — e w o l u c y j n e m i (Forpocztami ewolucji psychicznej)” (podkreślenia Nalkowskiego — przyp. aut.).

A jakże serdecznie i pohukliwie śmiałyby się Nalkowski, gdyby się dowiedział, że mówią o bojownikach z lekkiej jazdy, w rodzaju Henryka Heinego, nieopatrznie rzucających się w bój, miał na myśli siebie! On był wrogiem wszelkiego hazardu, nawet heinowskiego, jego ideałem była strategia, rozważa i mocne przygotowanie skoncentrowanego ognia. Przekreślono więc wywód rozprawy *Trzeba mieć metodę*, w której Nalkowski charakteryzuje jako nierozważne i heinowskie — posunięcia „tego trzeciego” i z pewną dumą przeciwstawia jemu — siebie.

Zniekształcenie i spazczenie samego faktu pojawienia się *Forpoczt*, a więc i ich treściowego założenia, nie tyle się może tłumaczy okolicznością, ach, jakże znamieną! — że dzisiejsi sympatycy *Forpoczt* brali wiedzę o nich z dziesiątej ręki, ile samą aż obraźliwą rubasznością psycho-fizjologicznych rozszeregowiań Nalkowskiego: Twierdzi on, że cały wielki tłum, oporny na idee, należy do gatunku b e z n e r w o w e g o, z w i e r z ę c e g o, t r o g l o d y t y c z n e g o, w którym „występują wyraźnie trzy podtypy, mianowicie: l u d z i e b y k i, l u d z i e a w i n i e i l u d z i e d r e w n a (automaty)”. Różni bali się zbyt blisko dotykać tej zawczasu nieprzyjemnej dla wielu klasyfikacji.

Aczkolwiek ta obsłabiła antropologia ma u Nalkowskiego wszystkie cechy rozróżnień przyrodniczych, naukowych i zbliża się do takich prawd, jak np. darwinowskie wiązania wyrazu głowy z zawodem, profesją — lub gatunkiem walki o byt, niemniej jednak Nalkowski, tak imponująco zazwyczaj rzeczowy, tym razem nie oparł się widocznie i przypryłowowi gniewu, motywy bowiem tej klasyfikacji wypowiedział niemniej szorstko, niż samą klasyfikację.

Nawet dziś, chociaż cztery dziesiątki lat od ogłoszenia owych kanonów minęło, odzyskana zaś niepodległość tak nas oddzieliła od przeszłości marazmowej, że jej już pojąć nie moglibyśmy, tezy te wydają się więcej paroksyzmem, niż syllogizmem. I muszę odmówić sobie satysfakcji przytoczenia ich szczegółów. Należałoby się im osobne i to niemałe studjum, tak w nich kotłuje się siła przekonania i siła argumentacji. Oczywiście te obelżywe, piętnujące paralizy z epoki lądźdich śpiewów caratu, prawdy, w rodzaju przepowiedni, że idee przemieniają się w kamienie — (co tak mimowoli przypomina kamienie Anhellego, rzucone w trony monarchów) — nie są znane tym, którzy mają złudzenie, że coś o *Forpocztach* wiedzą.

Jeżeli zaś kto wiedział, to bał się być solidarnym z Nalkowskim i dlatego pewnie książka uległa losom, szczególnie zakazanych publikacji, — skazana na obieg wyłącznie w ówczesnej Galicji, zacichła dla szerszego polskiego ogółu. Jednakże we Lwowie mówiono o *Forpocztach* z katedry publicznej i dzisiaj jeszcze starsi wspominają o nich, jako o pierwszej „literackiej awangardzie”.

Dla pełni — oczywiście t y m c z a s o w e j pełni, gdyż na skróty tylko pozwalają ramy czasopisma — dodać należy jeszcze jedno nazwisko, nazwisko człowieka, który z grupą całą współzł, współbolał, współcierpiał i współsztydził, chociaż nie był współautorem „Książki zbiorowej”. Był to Ignacy Radliński, filolog-klasik-pedagog, religiofag, historjograf. I on, jak Nalkowski, umiał w stratosferze najwyższych wzlotów i połowu idei zachować przezystość umysłu i serca, tkliwość aż do łzawości, ilekroć patrzył na jakiś triumf prawdy lub tak zwanego „dobra”.

Z myślami o „Deklaracji praw człowieka”, z wielkimi, śmiałymi studjami o niejedyności Jehowy, o niejedyności Syna Bożego, bowiem w starych kultach dostrzegł całkiem podobne do staro- i nowotestamentowych teozofje, z jakąś renowacyjno-sokratesową ironją łącząc bezżółciowość przysłowiową gołębia. Kiedyś na skromnym jubileuszu, który Nalkowskiemu urządziła u siebie redakcja *Ateneum* streszczał najwyższe, rzecz można, eschatologiczne wyniki poglądów Nalkowskiego na siłę umysłu ludzkiego wobec natury, Radliński płakał jakgdyby na godach najbliższego krewniaka. On to pierwszy nawoływał do najstarszych manifestacji. On to widząc, co się dzieje w ówczesnej warszawskiej parafii drobnomieszczactwa, wołał, ażeby gdy umrze, a cierpić mocno na serce, pochowano go rano, przed obudzeniem się miasta. Wyprzedził Wyspiańskiego: „Niech nikt nad grobem mym nie płacze!”

Był to skoncentrowany psychizm a jednocześnie racjonalizm, wielkość szukająca oparcia dla swej bezmiernej miłości swobody ducha ludzkiego, obrzoburca i zongler wiar i religij, z mózgiem Seneki a wrażliwością mimozy.

W ten sposób grupa *Forpocht* stała się pewnego rodzaju gorącym ośrodkiem psychicznym w ciepłarni bezducha, po której miało przysiężenie jej okien i rozwalanie murów. O tym ośrodku psychicznym wiedziała „młodzież” i ona to, dzisiaj już mężowie dojrzałości, o *Forpocztach* pamięta i zapytuje, dlaczego się milczeniem i przeoczeniem uszczupla wymiar tego ideowo rewolucyjnego ogniska, jakim one być chciały, lub się o niem zgola nie wie.

Krytycy, patrzący dalej i historycy i analitycy literatury, mają przed sobą jeden silny, niezwykle intensywny, moment do rozświetlenia i jeden wielki błąd do naprawienia, o ile, rzecz prosta, uznają za cenny pierwiastek namiętej duchowości, a fakt powstawania ośrodków psychicznych — za dostatecznie ważny, o ile przyznają, że wrażliwość, żądza spójni, dobroci, pasja honoru i sprawiedliwości, intuicja, dochożąca do jasnowidzenia, są tą sublimacją i tem natężeniem duszy, których prześlępiac się nie powinno.

Mogło się wydawać matematykowi Laplace'owi słusznym, na pytanie, dlaczego w swym systemacie astronomicznym nie uwzględnił Boga-Stworzyciela, odpowiedzieć: „*Je n'avais pas besoin de cette hypothèse*”. Ale nie wydaje się, ażeby nagabywani o d u s z ę — estetycy nasi, śledzący etapy myśli wyzwoleniczej, chcieli poprzestawać na zapewnieniu: Nie mieliśmy potrzeby uciekania się do tej hipotezy i w dalszym ciągu ignorowali jedną z mocniejszych awangard walki o emancypację myśli i uczucia społecznego.

CEZARY JELENTA

WYSTAWA JÓZEFA MEHOFFERA W ZACHĘCIE

Niewielu mamy w Polsce malarzy równie honorowanych, równie cieszących się powodzeniem, równie głośnych, co Józef Mehoffer. Mimo to jednak twórczość Mehoffera, tak samo jak cała jego współczesność malarska, nie zostały dotychczas krytycznie nasświetlone i sprawiedliwie osądzone. Epocę tak zwanej secesji należy się rewizja, którą winni podjąć nasi historycy kultury, w niemniejszym stopniu niż historycy sztuki. Konieczna jest tutaj rewizja utartych, szablonowych opinii, rzeczowa, wnikliwa analiza. Przeprowadzić ją można z wystarczająco już odległej perspektywy, zdala od zgiełku dyskusyj i polemik.

Mehoffer wyrósł ze swej epoki i do niej należy niepodzielnie. Twórczość Mehoffera stanowi zamknięty rozdział dziejów sztuki w Polsce. Forma jego sztuki, jej malarskie założenia, zrodzone przed paru załedwie dziesiątkami lat, dziwnie są obce naszym czasom. Plastyka tego artysty jest przepojona aktualnością, która przestała być dziś aktualna — aktualnością hasel i bojowych manifestów pewnego odłamu malarskiej rewolucji XIX wieku i początku XX wieku.

W latach młodości Mehoffera organizował się wielki front ideologiczny zwrócony przeciw naturalizmowi, a ściślej zaś impresjonizmowi, jako ostatecznej konsekwencji doktryny naturalistycznej. Mehoffer stanął wówczas w szeregu walczących o nowe wartości w sztuce. Został na naszym terenie obok Wyspiańskiego heroldem całego obo-

zu. Na miejsce obiektywnej, uniwersalnej, optyczno-naukowej doktryny impresjonizmu — stanęła indywidualistyczna, ściśle subiektywna orientacja. Nowa plastyka nie wnosila żadnych ogólnych rygorów formalnych, czy ideologicznych — rozpadając się na liczne odgałęzienia i przeciwstawne nieledwie kierunki — łączące się przez wspólny, negatywny stosunek do wartości zwalczanych. Wśród tych różnorodności, i różnokierunkowych tendencji rodzącej się sztuki — jedno z naczelných miejsc zajęły zagadnienia dekoracyjności. Odwrót od malarstwa sztalugowego prowadził całe szeregi „modernistów” do szukania zdrowych terenów współpracy sztuki z architekturą, do podniesienia i równoprawnienia zaprzepaszczonych dziedzin sztuki stosowanej, grafiki użytkowej i t. p. W konsekwencji stwarzało to ogólne dążenie — szczerze, choć zbyt może programowe i apriorystyczne — do znalezienia własnego stylu, mającego objąć wszystkie dziedziny życia. W tym okresie początkowych, po omacku nieraz czynionych prób i poszukiwań, w tym wielkim kotle antinaturalistycznej rewolucji, destylowały się i krystalizowały idee i formy społecznej nam przyszłej sztuki.

Mehoffer nie zagubił się wśród owych różnorodnych poszukiwań i poszedł wyraźnie drogą malarstwa dekoracyjnego. Wcześniej zaczął objawiać uzdolnienia i skłonności w tym właśnie kierunku. Jako 20-letni uczeń Akademii krakowskiej (1899) pracuje



J. MEHOFFER

Jan Stanisławski

przez pewien czas razem z Wyspiańskim nad wykonaniem matejkowskiej polichromii kościoła Marjackiego.

Decydującą rolę w ukształtowaniu się sztuki przyszłego mistrza witrażu odegrał Paryż, gdzie przybywa Mehoffer w 1891 roku, po rocznym pobycie w Wiedniu, i gdzie osiada na kilka lat. Tutaj styka się bezpośrednio z całym obozem nowatorów, znajduje potwierdzenie własnych dążeń w malarstwie monumentalnym Puvisa de Chavanne, prekursora tworzącego się kierunku, a nade wszystko tu, we Francji, przeprowadza wnikliwe studia nad gotyckim malarstwem freskowym i witrażem (Paryż, Rouen, Amiens, Strassburg).

Nowa sztuka na całym froncie zwraca się wtedy po naukę do przeszłości, w konsekwencji odwrótu od natury i jej bezpośrednich podmiotów. Nowych elementów stylu, dekoracyjności, ekspresji szuka się w sztuce średniowiecza, w japońskim drzeworycie, w egzotyzmie sztuki ludowej i wszędzie tam, gdzie natura została przetransponowana, przestylizowana, użyta do budowy formy, albo wyrazu. Tego rodzaju porwy uczuć dla zmarłej przeszłości — nigdy nie są bezinteresowne. Renesans takich czy innych okresów przeszłości, zwyczajnie, czy antyku na rynku artystycznym — wynikały zawsze z potrzeb i braków żywej sztuki, z konieczności umocnienia się na zajmowanym stanowisku — zjawiały się w momencie zużycia dawnych i poszukiwania nowych elementów. Teraz w czasach odwrótu od plamy barwnej i powietrzności malarstwa impresjonistycznego — wkrocza nowy element sztuki — linia, kontur.



J. MEHOFFER

Rozmowa

S Y N*

Pod wiosnę pani Cecylja Kolichowska wróciła do łóżka już na dobre. Elżbieta przyjeżdżała do ciotki codziennie. W swoim czasie, spełniając prośbę Karola, usiłowała wytłumaczyć pani Cecylji, że ślady, które zostawiła w jego ciele choroba, nie przeszkadzają mu pracować ani żyć. Pani Cecylja wysłuchała wszystkiego z twarzą pochmurną i nie odpowiadała nic. Sama przecież przyzwyczaiła się już do tego, że Karol jest jej synem.

Karol przez długie godziny siedział w swoim pokoju. To co robił nie było jasne. Pisał jakieś francuskie książeczki, noszące pretensjonalne i niezrozumiałe dla niej tytuły. Parę takich prac pokazał jej, były cienkie, zielono oprawne, wydane przez instytut jakichś badań i czytane niewiadomo przez kogo. Sam nie przychodził nigdy do jej pokoju. Gdy go jednak zywiała, zjawiał się natychmiast, wzruszony i wdzięczny. Siedział długo i rozmawiał bez przymusu. Wydawało jej się dziwne, że nie jest mu z nią nudno.

Dowiedziała się z tych rozmów różnych rzeczy o tej młodej kobiecie, która była córką jej męża z drugiego, paryskiego małżeństwa. Była tancerką, rozchorowała się i straciła pracę, miała ciężkie przejścia. Później wyszła zamaż za pewnego emigranta z południa, który parę razy do roku przekradł się do swego kraju i znowu do niej do Paryża powracał. Karol znalazł go i opowiadał ze zdziwieniem, jak we wszystkich krajach ci ludzie podobni są do siebie, ci, którzy wybierają sobie ten los, którzy na to idą. Z jednej takiej wycieczki do kraju już nie wrócił. Dowiedziała się później, że zginął w nieudanym zamachu.

— I co ona robi teraz?

— Nie było jej w Paryżu, gdy wyjeżdżałam. Teraz z kolei matka oczekuje jej powrotu stamtąd. To piękny kraj, ale ludziom trudno tam żyć.

* Rozdział z powieści *Granica*, która ukaże się we wrześniu nakładem Gebethnera i Wolffa.

Innym razem pani Cecylja zapytała go, czy nie wie o tem, dlaczego jego ojciec odebrał sobie życie. Wyjaśnienie, jakie dał, nie było dla niej zrozumiałe.

— To nie może być prawdziwa przyczyna. To musiało być coś innego.

— To nie było nic innego. Rozłam, w którym nie mógł iść tam gdzie szli jego przyjaciele. To wystarczy. Widocznie także nie miał siły zostać sam.

— Przecież ona była z nim. Nie?

— No tak, ale w tem nie mogła mu pomóc. Ona także była między tamtymi.

— Czy ty dobrze pamiętasz ojca?

— Pamiętam, ale to jest blade. Przychodził jakby zawsze z zewnątrz, z daleka, z poza domu, z ciemności. To jest dziwne ale nie pamiętam żadnych jego pieszczot. Za to ciebie pamiętam dobrze.

— Cóż to dziwnego? Po jego wyjeździe byliśmy przecież jeszcze przez pięć lat razem.

— Nie, nie, ja nie mówię o tych czasach, kiedy już był Kolichowski. Ja mówię o czasie, kiedy był ojciec.

Opowiedział jej, jak chodzila po małym mieszkaniu, którego wszystkie okna wychodziły na jedną stronę, a pokoje leżały jeden za drugim. Na początku był przedpokój, z przedpokojem szła w bok nieduża kuchnia bez okna.

— To było mieszkanie na Mostowej, — powiedziała pani Cecylja i nieznacznie się uśmiechnęła. — Nie miałeś wtedy pięciu lat.

W tej kuchni była czasami służąca, ale częściej nie. Matka przepadała tam, zamykała za sobą drzwi, a potem wychodziła z talerzem albo szklanką w ręku. I wołała go, żeby siadł do jedzenia. Była to kaszka manna na mleku albo kakao. Jednego i drugiego nie lubił, ale lubił matkę i dlatego jadł. Chodziła ubrana w białe bluzki i różowe szlafroki. Miała duży warkocz z ciemnych włosów i rano ten warkocz wisiał jej na plecach, jak u dziewczynki. Później czesała włosy stojąc i miała do tego duży grzebień o długich równych zębach bez gęstej strony. Czesala się zwykle w

drugim pokoju nazwanym salonem, do którego szło się przez jadalnię i w którym też spała na niewygodnej zaokrąglonej kanapie, za stołem i fotelami. Jedyne łóżko stało w ostatnim pokoju, który był gabinetem ojca i gdzie nie było wolno wchodzić. Czesala się stojąc przed lustrem salonowym, oprawnym w złotą ramę, nad konsolą z wygiętymi złotymi nogami. Karol przyglądał się temu, jak czarne włosy odpływały od głowy daleko wzdłuż ręki i zesypywały się zaraz potem na plecy, jak coś jednego. „Mama jest śliczna”, mówił. A ona śmiała się i zaplatając włosy odpowiadała: „Nikt mi tego nie mówi, tylko ty”.

— Myślałem wtedy, że ojciec nie jest dobry dla ciebie.

Pani Cecylja pomyślała chwilę nad tą sprawą.

— Nie, on był dobry. On musiał tak żyć, miał prawo, to nie było przeciwko mnie, to była jego natura. Ale można kogoś męczyć tem tylko, że się jest takim a nie innym. Bo ja nie mogłam tego znieść, że on tak żyje. — Jego tych przyjaciół, rewizji, ciągłego niebezpieczeństwa.

Jeszcze chwilę pomyślała i dodała sprawiedliwie:

— Nigdy się nie gniewał, nigdy nie miał do mnie żadnych pretensyj.

Karol słuchał tego jakby mowa była o obcym człowieku.

Przy łóżku pani Kolichowskiej stały obie jej laski, oparte o szafkę nocną. Stały tam, oznaczając niejako, że w każdej chwili może powrócić do zdrowia, może wstać i chodzić, opierając się na nich, po mieszkaniu. Jednak mijaly tygodnie a stan jej się nie poprawiał. Elżbieta przywozila raz poleconą przez doktora Lefeldę pielęgniarkę, która spędzała u pani Kolichowskiej godziny rano, a często przychodziła jeszcze i na noc, gdyż pani Posztraska nie mogła sobie poradzić przy chorej mimo pomocy Ewci i Michaliny.

Kiedyś siedząc przy matce, Karol wziął jedną z tych lasek i uważnie oglądał jej rączkę jakby widział ją po raz pierwszy.

— Nie masz pojęcia, jak nienawidziłem

tej srebrnej baletnicy. Śniło mi się kiedyś, że ożyła, że chodziła po naszym mieszkaniu i krzyczała i chciała tobie zrobić coś złego.

— To on już wtedy miał tę laskę? Nic teraz nie pamiętam.

— Miał ją zawsze, kiedy przychodził do nas do tego drugiego mieszkania na Emerytalnej. Zostawiał ją w przedpokoju za prętem wieszadła i szedł do ciebie. A ja się jej przyglądałem i chciałem jej dotknąć i brzydziłem się. Ale raz jej dotknąłem.

— Bardzo go nie lubiłaś, — powiedziała pani Cecylja wyciekając. — Gdy nie odpowiadała cięgnęła: — Byłeś dzieckiem, naturalnie, nie mogłeś wszystkiego rozumieć. Ale teraz chyba wiesz, że miałam prawo. Nawet wtedy, kiedy twój ojciec jeszcze żył.

— Mnie przecież nie o ojca chodziło.

— Więc poco mnie tak dręczyłeś?

Karol chwilę nie odpowiadał. Pamiętał, jak była wtedy zaślepiona w tym człowieku. Pamiętał jego monokl, getry, kremowe rękawiczki... Wstyd mu było przed chłopcami w gimnazjum. Wiedzieli, że była u jego matki. Pytali go co rano, czy znowu był. Mówili o nim źle, był tam nienawidzony. Dom na ulicy Staszycza kupił podobno za pół darmo z licytacji przez pośrednika.

— Słyszałem, że był u gubernatora.

Pani Kolichowska była podniecona.

— Mój drogi, to był wyjątkowy człowiek ten gubernator. Przecież nawet Teczewscy go przyjmowali.

Odpowiedział łagodnie:

— Dlaczego mówisz: nawet? Czyż to nie było naturalne?

Pani Kolichowska bronila swego męża z solidarnością, jakgdyby sama nie miała mu tak wiele do zarzucenia. Utrzymywała, że Karol nie może znać ówczesnych stosunków i sądzić o tem, jeżeli opuścił kraj jako niedorosły chłopiec. Karol nie upierał się zresztą przy swych sądach i słuchał gniewnych słów matki z cierpliwością, która w jej oczach wyglądała na lekceważenie.

— Twój ojciec był innym człowiekiem — mówiła gorączkowo i oczy jej błyszczały. — Wiem przecież, nie potrzebujesz mi mówić, kim był. Żyłam przy nim jak było trzeba,

Dekoracyjność Mehoffera jest wybitnie linearna. Kontur otaczający barwne pola kształtów — to zasadniczy współczynnik „stylu Mehoffera”. I tutaj właśnie, na terenie „secesyjnego” linearyzmu wyrasta u Mehoffera to głębokie zrozumienie, umiłowanie najbardziej konturalnej, linearnej ze sztuk plastycznych — witrażu. Ze stylu witrażu średniowiecznego, ze stylu techniki witrażowej — czerpie Mehoffer tak samo, jak szereg współczesnych mu plastyków, twórcze podniety. Ulegając natchnieniom monumentalnej plastyki średniowiecznej, przejmując niektóre jej elementy — przekłada je Mehoffer na język własny „nowoczesnej” formy artystycznej. „Przekład” taki najpiękniej wypadł w sławnych fryburskich witrażach (1894 — 1926), których kartony oglądać można na obecnej wystawie. Tutaj doszedł Mehoffer do szczytów własnej koncepcji dekoratorskiej.

Styl Mehoffera, przejawiający się w nieprzeliczonym mnożeniu projektowanych i wykonanych polichromij i witraży, jest zjawiskiem dość skomplikowanym. Najbardziej linearny i syntetyczny jest Mehoffer w witrażach, gdzie z małych kawałków szkła obramionych linją ołowiu, buduje, stylizuje obraz. Znacznie bardziej „malarzski” jest w polichromiach. Styl jego charakteryzuje przedziwna odświętność, patetyczność zawilonych, splecionych linii, wijących się wstęg, girland, kwiatów, ornamentów — profuzja okrągłości, rozrzutność wszelakiego rodzaju ozdób. Wszystko wibruje jakimś niespokojnym rytmem, akcentowanym jaszkrawymi zestawieniami koloru. Są niewątpliwie w stylu Mehoffera, czciciela gotyku, składniki właściwe plastyce baroku.

Analizując całokształt malarstwa Mehoffera, odbiera się wrażenie, że przełamanie naturalizmu nie jest u niego całkowite. Pomijając narazie malarstwo sztalugowe Mehoffera, gdzie występuje to znacznie dobitniej, w niektórych freskach odczuwa się także pod obłonką festonów i girland obecność sławnych form.

Mehoffer, z małymi wyjątkami, zdobi budowlę zabytkową. Architektura współczesna nie nadawałaby się pod żadnym względem do dekoracji Mehoffera. Można sobie wyobrazić malowidła tego artysty w secesyjnym wnętrzu, byłyby one nie do zniesienia w budynku, gdzie dominują: geometryzm, płaszczyznowość i prostota.

Trafnie zauważył w swym studjum o Mehofferze Władysław Kozicki (*Sztuki Piękne*, III, Nr. 10 — 11, str. 374), że charakterystyczność, głębia wewnętrzna, ekspresja psychiczna nie są celem tego artysty. W zasadzie jest to słuszne. Zastrzeżenia budzić jednak muszą wcześnie lata twórczości Mehoffera, grupa świetnych węglowych studjów portretowych, gdzie zagadnienia ekspresji momentu psychologicznego nie stoją bynajmniej na ostatnim planie. Późniejsze portrety Mehoffera zatracają tę nu-



J. MEHOFFER

Karton do witrażu we Fryburgu

nie krępowała go w niczem, nie mogę sobie robić wyrzutów. Gdy odjechał od nas, szyla bieliznę do sklepów, gotowałam, szorowałam i pralałam.

Uniosła się na łóżku. Karol wstał ostrożnie i ustawił poduszki za jej plecami.

— Żyje się krótko i źle. A przytem tylko ten jeden raz. Czy można żądać od człowieka, by dał sobie to jedno życie zniszczyć?

Karol mówił z cichą perswazją:

— Jest jedno, ale się tego przecież nie czuje. Zapomina się o tem.

— Byłeś po stronie ojca. No cóż, to jest zrozumiałe.

— Nie, mamo, nie to, — przerwał i uśmiechnął się prosząco. — Ty tak sobie to dziecinnie tłumaczysz. To była własna moja sprawa. Nie o ojca mi szło, tylko o ciebie.

— Doprawdy, nie miałeś go za co nienawidzić.

I jej dużo czasu było potrzeba, aby zrozumieć, że wady Koliczowskiego, były wadami żywego człowieka. Kochał ją i męczył i to oznaczało to samo. Kwity pocztowe zamknięte w kasie żelaznej, kwity z nazwiskiem tamtej kobiety — to odkrycie wystarczyło na długo. Kwity i wszystko inne. Ale ostrze tej urazy stępilo się przez lata, została samotność. Nikomu nie nie zależało na tem, co z nią jest, czy robi to czy co innego, czy jest wogóle. Jego śmierć zerwała łączność z życiem. Dopiero po wrót Karola odwrócił to zbyt późno.

Podnieciła ją rozmowa. Jej twarz zaczerwieniła się, zrobiła się pełniejsza od nabiegającej krwi, jakby się od wewnątrz zapaliła.

Patrzył na jej profil twardy i ciemny na białym tle poduszki. Cienie oczów zachodziły aż na skronie. Przypominał sobie, jak była piękna. Czy można powiedzieć, że nie nie zostało z tamtego czasu? Może najgorsze było, że właśnie coś zostało.

— Przecież kochałem ciebie, — wyznał.

Zwróciła ku niemu oczy i uśmiechnęła się. Nie wiedział, czy to nie było złudzenie. Rozchylenie się jej warg, które były wy-

szkle, na białych zębach, które były sztuczne — mogło być tylko widmem uśmiechu. Ale sens jej spojrzenia był taki sam, jak wtedy. Wydało mu się porywające i młode.

— Kochałem ciebie, byłem o ciebie zazdrosny.

Zrozumiała to tak, jak mogła.

— Byłeś dobrym dzieckiem — powiedziała. Ja wiem. Może gdyby nie stało się to wszystko, może naprawdę —

Nie znajdowała słów na powiedzenie swojego wzruszenia. Odchyliła głowę na poduszkę, przymknęła powieki i twarz jej zasunęła się w cień. Wtedy, nie widząc jej, powiedział jeszcze:

— To był tryumf, że byłaś moją matką. Uwielbiałem cię. Być przy tobie, patrzeć na ciebie — cóż to było za szczęście. Byłaś taka piękna.

Kiedyś wieczorem Karol zatelefonował do Elżbiety, że matka czuje się gorzej i chce ją odwiedzić.

— Zaraz jadę, — powiedziała.

Przyjeżdżając na krótko co dnia, Elżbieta nie zdawała sobie sprawy z rozwoju choroby. Stary domowy doktor zawsze temi samymi słowami mówił o stanie pani Cecylji. Powtarzał, że potrzebny jest spokój, i dieta, że tak jak jest może być jeszcze długo.

Była już tego rana u ciotki i nie zauważyła nic. Po jej odjeździe pani Cecylja uczyła niepokój, brała krople. Po południu zasnęła, a Karol siedział tuż przy jej łóżku. Spała długo. Obudziła się nagle z twarzą zmienioną przez przerażenie, pełną rozpacz. Zadzwoił na pielęgniarkę, trzymał ją za rękę. Uspakajala się, widząc niepokój innych. Po lekarstwie zrobiło jej się lepiej.

— Pamiętasz wuja Romana, ojca Elżbiety? — spytała nagle.

— Pamiętam.

— On umarł, kiedy miał o dziesięć lat mniej niż ja teraz. Ciocia Winia umarła zanim się urodziłem, żyła tylko dwadzieścia dwa lata. Czego można właściwie chcieć? Do niczego nie ma się prawa. Jestem o-

dziewiętnaście lat starsza niż moja matka gdy umierała.

Robiła sobie te obrachunki. Pamiętała wszystkie daty. To było jedyne, co mogła w swem życiu jako uporządkować.

— Elżbiety nie ma? — spytała.

Zamiast Elżbiety przyjechał doktor. Zrobił zastrzyk, powiedział, że w ciągu nocy nie może się nic zdarzyć.

Leżała z zamkniętymi oczami. Gdy podniosła powieki, zatrzymała oczy na Karolu.

— Jesteś, — powiedziała. Przymknęła znowu oczy, nie patrząc mówila powoli, jakby z głębokim zniechęceniem.

— Mam teraz trudne rzeczy do przeżycia ze sobą samą. Tu mi nikt nie pomoże, nikt tu ze mną nie pójdzie. Lepiej mnie tak zostawić, moje dziecko.

Elżbieta przyjechała, kiedy pani Cecylja była już nieprzytomna.

— Dlaczego nie telefonowałaś od razu? — spytała z wyrzutem.

Oboje z Karolem nie odchodzili od jej łóżka, nie odrywali oczu od jej twarzy. Późnym wieczorem przyjechał Zenon i przwiózł ze sobą drugiego doktora. Ten doktor nie odjeżdżał już póki nie umarła.

Rano przyjechała pani Zancia znająca się na śmierci i jej obrzędach. Przez czas, gdy otwarta trumna stała w salonie, była tą, która z przybywającymi ludźmi wymieniała komentującą całą rzecz słowa, „Tak nagle się to stało, nikt nie oczekiwał. Choć chorowała już przecie dawno. Byliśmy wszyscy spokojni, doktor nie przewidywał nic złego. Czula się jaknajlepiej i nagle straciła przytomność”. Słowa te miały wyjaśnić, czemu na klepsydrze nie wymieniono świętych sakramentów. Pani Zancia robiła sobie wyrzuty, że będąc tak blisko, nie dopilnowała tej sprawy. Wezwany przez nią za późno ksiądz Czerlon przebywał tu teraz jak ktoś domowy i prawdę słów jej zaświadczał samą swą obecnością. Wśród dekoracyjnej zieleni stał katafalk podobny do sarkofagu, przechodził obcy tłum. Śmierć rozrastała się, socjalizowała, stawała się obca i cudza.

tę idącą do wnętrza duszy ludzkiej — w miarę biegu lat łącząc się z jego malarstwem dekoracyjnym.

Wielka wystawa Mehoffera, która przez okres trzech miesięcy ozdabia sale Zachęty, jest rezultatem nieprzeciętnych wysiłków Komitetu Organizacyjnego. Zgromadzono bezmała 600 eksponatów, które w całej pełni obrazują bogatą, różnorodną twórczość artysty. Począwszy od olbrzymich kartonów dekoracyjnych, poprzez kompozycje, portrety, pejzaże, skończywszy na rysunkach i grafice. Pokazano twórczość Mehoffera nie na wybranych przykładach, ale w jej całokształcie, nie wyłączając nawet słabszych prac ostatniego okresu. Wydobyto z pyłu zapomnienia interesujące obrazy artysty z okresu wczesnego (jak np. *Rozmowa* — 1896 r.), wydano obszerny katalog. Tak Warszawa uczciła święto 45-lecia twórczości Mehoffera.

Analizując z całym krytycyzmem sztukę tego niepospolitego artysty, należy zawsze pamiętać, że to on właśnie był jednym z tych, którzy wybijali drogi dla nowej, zapewne wielkiej, sztuki przyszłości.

MACIEJ MASŁOWSKI

KOMUNIKAT K. P. C. P.

Dnia 1 lipca r.b. odbyło się w Warszawie Walne Zebranie Komitetu Propagandy Czynu Polskiego. Obrady zajął p. prof. dr. Mieczysław Michałowicz, proponując na przewodniczącego Zebrania Walnego p. plk. dypl. Antoniego Durskiego-Trzaskę, który otworzył obrady przemówieniem, poświęconem pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego, poczem jednogłośnie milczącym zebrani oddali hołd Zmarłemu.

Następnie Sekretarz Generalny K. P. C. P. zdał sprawozdanie z obszernej i bogatej działalności Zarządu K. P. C. P. za czas od 1-go lipca do 31 grudnia 1934 r., które zebrani przyjęli do wiadomości z uznaniem i wyrazili Zarządowi Komitetu Propagandy Czynu Polskiego podziękowanie. W roku bieżącym Zarząd przeprowadził w Warszawie i na terenie całego państwa o olbrzymich rozmiarach obchód imienin Marszałka Piłsudskiego i czyni przygotowania w sprawie sprowadzenia zpod Sitowicz do Warszawy zwłok Aleksandra Sulikiewicza, wiernego przyjaciela i żołnierza Marszałka Józefa Piłsudskiego, oraz restauruje Kościół w Czarncy, gdzie buduje mauzoleum dla prochów Hetmana Stefana Czarnieckiego.

Na wniosek p. plk. dypl. Durskiego-Trzaski Zebranie Walne uchwaliło uznać za główną działalność Komitetu Propagandy Czynu Polskiego utrwalenie czynów Józefa Piłsudskiego w kraju i zagranicą i przewodnictwo tej akcji powierzyć p. prof. dr. M. Michałowiczowi.

Delegat Głównej Komendy Związku Strzeleckiego, p. plk. Pożerski, zgłosił do tej akcji całkowity akces Związku Strzeleckiego.

Nakoniec zebrani postanowili wysłać depeze hołdownicze do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego, do Pani Marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej, do Pana Premiera Walerego Ślawka, do Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, Generała dyw. Śmigłego-Rydza.

Karol siedział w swoim pokoju, bojąc się ludzi.

Wieczorem zastukała do jego drzwi Elżbieta.

— Leż, leż. Nie wstawaj, — powiedziała, widząc, że chce się dźwignąć z plastikiego szezlongu, na którym odbywał zwykle swoje godziny nieruchomego leżenia. Od paru dni czuł nieznośny ból w karku i prawej ręce. Ale myślał, że to jest nerwowe.

— Nie przeszkadzaj sobie. Czy mogę tu posiedzieć?

— Chodź, — powiedział.

Usiadła na giętem krześle przy biurku, przy którym dawniej odrabiała lekcje. Za oknem, zasłoniętem roletą, leżało pośród ciemności znane jej podwórce. Cały świat dzieciństwa, z którego nic nie stało się jasne i zrozumiałe. Tem oknem patrzyła na przechodzących przez podwórce ludzi. W drugim rogu na gałęziach czereśniowych siedział kiedyś nieduży Marjan Chaśba. Wołany przez matkę, składał książeczkę i biegł przynieść jej wody do suterenu. Umierała Gołąbska siedziała tam z nieżyjącą ślepą Jadwisią i dawała jej kota do zabawy. Przez to okno widać też było Fitka, którego granicę życia wyznaczał łańcuch suwający się na drucie.

— To było najgorsze, — mówiła Elżbieta, — że od samego dzieciństwa, że od samego początku ja w sobie zwalczalam uczucie dla niej. Wstydziłam się mego przywiązania, chociaż ona jedna była dla mnie dobra. Czasami w nocy wyobrażałam sobie, jakby to było, gdybym nagle zaczęła być inną. Gdybym powiedziała jej, że ją kocham, gdybym choć raz w życiu przyznała jej rację. Ale na to trzeba było ustąpić, trzeba było stanąć po jej stronie, kiedy była niesprawiedliwa. Teraz wiem, że nie mogła być inna, że to było zbyt trudno.

Rozejrzała się po pokoju.

— Tu na tem łóżku płakałam z czułości, marząc o tem, jakiego to było szczęście dla niej. I nigdy tego nie zrobiłam.

Ale Karol, który to zrobił, był spokojny.

ZOFJA NALKOWSKA

STEFAN JARACZ



Mówiąc o sztuce Jaracza, trzeba wystrzegać się jak ognia słów dostojnych, namaszczonej i odświętnej. Stworzyłyby niezawodnie sytuację podobną do tej, od jakiej rozpoczyna się film Chaplina: *Światła wielkiego miasta*. Takie słowa mają bowiem własność wywoływania obrazu grup zwykłych panów we frakach i cylindrach wokół osłoniętego jeszcze pomnika. Brzmia uroczystą melodią hymnu. Budzą oczekiwanie posągu wyprężonego w majestatycznym geście. — Ale oto zuwa się pokrowiec i widać skulonego człowieczka, chowającego nieogoloną twarz w kołnierz marynarki.

Takim człowiekiem drzącym z zimna na postumencie mógłby być z pośród kreacji Jaracza równie dobrze bezrobotny inteligent z *Uśmiechu losu*, kiedy los znowu mu się wykrzywi, jak Smugon po stracie posady, robotnik z *Ulicy* po wypuszczeniu z więzienia, aktor-pijaczyna z *Artystów*, Franio, Jakób, Felicjan Dulski... Każda z tych postaci, zachowana raz na zawsze w pamięci, jest jednakowo obca wszelkiej pompie sztuki. Wnosząc do swych kreacji coś z chłopskiej wstydlivosti i obawy uewnętrznienia uczuć, obdarzył je Jaracz życiem samodzielnym, jakby wyodrębnionem z dramatów i przedłużonem poza czas ich trwania. Można dopatrywać się ich potem w ludziach spotykanych na ulicy i wspominając, mówić: znałem dobrze tego człowieka.

Daloby się wskazać również inne przyczyny tego oczyszczenia kreacji Jaracza z patosu. Patos, nawet zciszony, jest przecież wyrazem bardzo wysokiego mniema-

nia o sobie; powstaje z przypisywania własnym krzywdom doniosłości światowej, z dopatrywania się w cierpieniu specjalnego zainteresowania ze strony potęg ludzkich czy pozaludzkich: systemu społecznego, losu. Dla postaci tworzonych przez Jaracza są to zbyt niedostępne, pańskie instytucje. Los, w ich oczach, to ktoś kto zajmuje się najchętniej władcami, potentatami świata. Jest to opiekun — albo wróg — ludzi na stanowiskach. Mali go nie obchodzą — zostają odrzućni poza los, poza historję, wyzuci z dobrodziejstwa rozumienia sensu cierpienia. Wprawdzie — do życia ludzi Jaracza los wtrąca się również bezpośrednio. Raz uśmiecha się programowo w sztuce Perzyńskiego — robi to raczej na życzenie autora i bez przekonania. Drugi raz pomaga bardzo obelżywie Smugoniowi, bo pozwala mu zachować szczęście z wyniosłej łaski panka, który temu nauczycielowi mówi „wasan”. (Dziś już w ujęciu Jaracza Smugon nie podejmowałby z taką chłopską pokorą Przełęckiego pod nogi). Ale to są wyjątki. Dla większości los nie ma nawet swego przysłowiowego „upośledzenia”. Nie dostrzega poprostu tych ludzi w gorączce budzenia potężnych namiętności, rzucania przeciw sobie ludzi doktryny czy pasji. Uchwycenie przez Jaracza w odtwarzanych postaciach tego ich wydziedziczenia z przemian świata wydobyla z nieużyteczności ich cierpienia i bezsensu krzywdy smutek szczególnie przejmujący.

Był to zresztą etap — niebylejaki, ugruntował sławę Jaracza — w rozwoju artysty. Następny przyniósł wraz ze *Szwajkiem* i *Kapitanem z Koepenick* przewycięzenie tej samotności wobec świata, dał cierpieniu sens społeczny. Postacie nabrały siły, barczystości, zdobyły trudną umiejętność uśmiechu. Pokora, dawniej ujawniająca tylko bezbronność, stała się podstępna i drwiąca. Dobroć nie poprzestawała na budzeniu współczucia — potęgowała rozmiary krzywdy i budziła gniew.

Jednocześnie — w *Zemście*, w *Damach* i *Huzarach*, niedawno w *Madame Sans-Gène* i w *Chorym z urojenia* — postacie jaraczowskie przejawiały nową namiętność aktorską: nieprzerpątkową skłonność do plastyki, dosadności i kolorowości zewnętrznego wyrazu. Dotąd wystarczała im przeważnie twarz Jaracza, niezmienną silnie charakteryzacją. Teraz zapragnęły własnych twarzy, za każdym razem zupełnie różnych.

Stwarza to z Jaracza wymarzonego aktora dla dramatu, który jeszcze nie powstał, a którego oczekują wszyscy — dramatu zapelnionego przez ludzi oddających z całkowitą szczerością namiętności, wiary, bohaterstwa i podłości swoich czasów. Dopiero takim ludziom mógłby dać bez reszty swoją dzisiejszą kanciastość, porywczosć i spojrzenie naiwnej dobroci.

B. K.

Z LITERATURY
O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM

I.

Pod wrażeniem zgonu Józefa Piłsudskiego szpały wszystkich czasopism wypełniły liczne artykuły poświęcone życiu, czynom i charakterystyce Marszałka. Pisane gorąco, sercami wzbudziły uczuciem, niewiele naogół mogły dorzucić nowych szczegółów biograficznych, co najmniej pogłębiły i poszerzyły poglądy na wielkość spełnionych przez Niego dzieł, na głębię i nieśmiertelną wartość Jego wskazań. Stopniowo, w miarę oddalania się od tragicznego momentu zgonu, przychodzi czas na spokojniejsze rozważania i wnioski.

„Prawda o Piłsudskim jest tak prosta i wielka, — słusznie pisze w *Kwartalniku Historycznym* (Zesz. 1—2) prof. Stanisław Zakrzewski — że nie potrzebuje upiększeń i nie potrzebuje legendy, choć sama wielkość wydarzeń i osoby wytworzyła legendę”. Obok świetnego artykułu Artura Słowińskiego o roli dziejowej Józefa Piłsudskiego (w Nr. 25 *Pionu*) prof. Zakrzewski najgłębiej piórem historyka ujął postać Budowniczego Odrodzonej Polski. „My, historycy, ze szczególnym wzruszeniem wpatrujemy się w tę historyczną z tyłu względów Istność, oddając naturalnie pierwsze miejsce Jego żołnierzom. Odszedł wielki człowiek, mający instynkt historii Polski w sobie, rozumiejący również naukę historyczną. Myślał wiele nad wartością źródeł historycznych, szukał nauki w historycznym rozpałtywaniu wypadków, działań wojennych 1863 i ich świadectw... W rozwoju naszej historiografii Marszałek zajmie czołowe stanowisko, rozumiał bowiem doskonale, wzorem Tucydidesa i Cezara czy Stefana Batorego, że samemu należy walczyć o siebie i zapanowywać w ten sposób nad przyszłymi historykami... Stojąc w zadumie, pełni cześć i wdzięczności, wyrażamy nie przypuszczenie, lecz pewność, że Duch Marszałka będzie żywą częścią teraźniejszości nietylko naszej, lecz długich jeszcze pokoleń. Tu też miejsce na pracę dla historyków. Potężne środki techniczne ułatwiają zapewne i wzmacniają siłę wspomnień i

pamięci, doświadczenia jednak wieków XVII i XVIII mówią wyraźnie, co znaczy brak człowieka wyrastającego ponad przeciętną, poczuwającego się żywo i osobiście do odpowiedzialności za sprawę publiczną. Tem większy spada na nas obowiązek, byśmy posiadłszy ten prawdziwy Cud Opatrzności w postaci Wielkiego Marszałka, u mieli w stałym z Nim obcowaniu utrzymać i rozwinąć w społeczności naszej ducha odpowiedzialności za należyte ustosunkowanie sił naszych wszystkich wobec odzyskanego państwa”.

„Józef Piłsudski — pisze prof. Stanisław Wędkiewicz (*Przegląd Współczesny* — czerwiec) — życiem swym wstrząsnął wiarę w nieomyślność skrajnie deterministycznych, skrajnie materialistycznych poglądów na losy jednostek i losy narodów. Był jednakże człowiekiem tylko, nie cudotwórcą. Dzieło, przez Niego wykonane, musiało być i było w istocie wynikiem sił różnych, wysiłkiem z pewnością niewspółmiernym z jego twórczą ideą, z jego twórczą wolą. Polska nie osiągnęła z pewnością tych szczytów potęgi i doskonałości, o jakich marzył i o jakie walczył... Nie zawiodł Piłsudskiego żołnierz polski i nie zawiodł Go szary człowiek pracy, chłop, robotnik, skromny mieszkaniec miast, miasteczek i wsi. Tych to „małych”, a jakże heroicznych ludzi bezinteresowności, wytrwałości i poświęcenie umożliwiły zbudowanie i utrwalenie silnych fundamentów niepodległego państwa. Czy z równą bezinteresownością i z równą dobrą wolą współpracowały z Piłsudskim warstwy kierownicze, te, które zwykło się inteligencją nazywać?... Czy inteligencja polska zdała egzamin dojrzałości politycznej i czy, jako całość, wykazała czynami swymi, że interes narodu i państwa stawia zawsze ponad egoistyczne cele i utilitarne rozważania? Czy naprawdę umiała rozpoznać rzeczywistość polską, a jeżeli tak, czy nie było w jej mocy przyczynić się do uniknięcia zdradzień i konfliktów, które opóźniły i pomniejszyły wyniki kampanji Józefa Piłsudskiego o zorganizowanie mocarstwowej Polski. Dręczące to pytania... cisną się one na myśl uporczywie, a odpowie-

dzieć na nie powinien, w tajnikach swego sumienia każdy z nas, ludzi z inteligencji, warstwy uprzywilejowanej, tem bardziej więc zobowiązanej do wydobycia z siebie największych wysiłków intelektu i woli”.

Wskazania, postawione Polsce przez Marszałka tak ujmują Jan Starzewski, autor cennej książki o Piłsudskim (*Droga* Nr. 5): „Pierwsze — to hasło pracy, działania i odwagi działania. Nie będzie już u nas zastoju — gnuśnego czy pokrytego strzępami marzenia. Nie będzie niedołęstwa i fałszywego pracy mianowania. Kult jej rozciągniemy na wszystko, co żywe i celowe, na wszystko, co na prawdzie oparte i do urzeczywistnienia zdrowych dążeń... Drugi zew — to wiara w Polskę... Marszałek ulecił Naród z chrobry niewiary w siebie — samem swem pojawieniem się wśród nas. Tylko bowiem wielkie narody wydają w zwrotnych historii momentach wielkich ludzi. Wielkość Piłsudskiego, zwłaszcza Jego wielkość moralna, jest rękomią mocy utajonych w Polsce. Dowodzi potężnych napięć duszy narodowej, dowodzi zwłaszcza wartości społeczeństwa kulturalnych, tych owoców pracy pokoleń... Trzecia wskazówka — to apel do zgody. Najwyżej chyba ze wszystkich cnót społecznych postawił Marszałek owo pojęcie. Lecz zgoda nie nakazuje bynajmniej triumfu gorszych ludzi — dlatego, że są liczniejsi. Nie nakazuje także oportunistycznych dostosowywań wzajemnych poglądów... Istnieje oto miara wspólna dla całego życia publicznego. Nazwać ją można *racją stanu*. Zawiera zaś całość dążeń i potrzeb narodu, pojmanego jako szereg idących po sobie pokoleń, a nie jako jedno żyjące pokolenie, tem bardziej nie jako jedna ze społecznych warstw. Widzącem spojrzeniem odczytać można na owej skali decyzje właściwe, decyzje nadrzędne. A potem — stoczyć już tylko trzeba walkę z własnym sercem i stłumić podszepty małostkowości, zaślepienie egoizmu czy lęku. Jest to jedyna droga, by powołać do życia zgodę — w czystem, istotnym słowa tego znaczeniu, używanem przez Piłsudskiego”.

Historyczną rolę Marszałka określa Tadeusz Szpotanski w tych słowach (*Droga* Nr. 5): „Był tym, kto młodość naszą kształtował, kto kładł kres nikiemności narodu i jego poniewierce, kto dał punkt oparcia dla walki z hańbą, kto zdobył znowu miejsce dla polskiego honoru i polskiej duszy. Był tym, który nieustępliwie organizował nasze siły, by stoczyć walkę z najzudem, tym, który wydarł wrogom zrabowane nam prawo wolności, który to prawo zabezpieczył i kazał je szanować. Nie więc dziwnego, że stał się wśród nas poza prawem pisanem i uchwalanym, że nie sięgają Go przepisy regulujące nasze stosunki wewnętrzne. Od szeregu lat łączyło się z Nim wszystkie myśli o sprawach ogólnych. Rozmowa dwóch ludzi o rzeczach Polski stawała się rozmową o Piłsudskim. Był jak potężny filar, o który wsparło się istnienie i życie ojczyzny. Tworzył podstawę i gwarancję jej bytu. Więc śmierć Jego uderzyła w domy całej Polski. I gdy odchodził na Wawel, spełniał jeszcze jedno dzieło: porwania i zbliżenia narodu do swej wielkości”.

„Żywa obecność tej potężnej osobowości — pisze Wilam Horzyca (*Droga* Nr. 5) — ciągle z nią przestawanie, nieustanne mierzenie swego życia miarą Wielkiego — to konieczność, to



Rok 1916

nieodzowny warunek i podstawa rozwoju Polski i Polaków. Odziedziczywszy dzieło Piłsudskiego bez testamentu Jego duchowości, łatwo moglibyśmy dzieło to zmarnować. Jedynie żyjąc w promieniu Jego żywej obecności człowieczej, jedynie budując prawdę duszy Komendanta w naszych własnych duszach, podolać możemy Jego wielkiemu dziedzictwu”.

Słusznie również mówi prof. Kazimierz Kosinski (*Droga* Nr. 5): „Był Józef Piłsudski, jak Mickiewicz, syntezą swojego czasu, był wyrazicielem swojej współczesności dziejowej najmocniejszym i bezpośrednim Duchem swoim obejmował naród we wszystkich jego pokoleniach i jako taki nie da się zamknąć w trumnie. Bronimy Go przed wyobrażeniem o Nim narodu, jak o królewskim prochu. Szukajmy Go w Jego pismach i historii, niech będzie obecny między nami. Nie róbnym dlań urzędowo kultu, bo gdy to zrobimy miernoty, pomniejszą Jego pamięć w narodzie. Nie zastanawiamy się Jego myślą wtedy, gdy przyjdzie nam samym czynić, bo każdy moment dziejów domaga się własnych decyzji i własnej odpowiedzialności”.



Rok 1916

„Miałem wrażenie, — pisze jeszcze w *Drodze* Antoni Anusz — że Józef Piłsudski szukał podniet i wskazań dla swej działalności w nakazach przeszłości historycznej, w przejęciu się duchem dziejów narodu, a nie w odczuciu współczesności i tego, czym żył przeciętny człowiek naszego pokolenia. Jeżeli poczucie obowiązku było w Nim silniejsze od skłonności do wygody i wywczasów, tem większą Jego zasługą, a dla nas — nauką i przykładem. Wielki Zmarły pozostanie dla nas zawsze żywą prawdą tych rozległych możliwości jakie stoją przed każdym z nas, jeżeli naszą myśl, serce i wolę oddamy bez reszty na służbę Ojczyźnie, nierozdzielnie łącząc własną pomyślność z godnością i pomyślnością całego narodu”.

O stosunku Marszałka do religii i Kościoła pisze ks. Jan Rostworowski w *Przeglądzie Po-wszecznym* (czerwiec). „Wybitną a bardzo piękną cechą religijności wielkiego Wodza narodu było to, że w stosunku Jego do Boga zgoda nie dzieliła się na pokaz. Nigdy ani w najmniejszej mierze nie próbował Marszałek katolicyzmem swoim zalecać się komukolwiek; nigdy zgoda nie używał religii za atut w politycznej rozgrywce. Wiadomo było bliskim, że modlił się codziennie przed zawieszonym nad łóżkiem wizerunkiem Ostrobramskiej Pani, który go nigdy nie opuszczał, nawet w podróży, że wogóle przestrzegał długie schody, wiodące do cudownej kaplicy nad Ostrą Bramą. Ale tem wszystkim nie afiszował się nigdy i jak wogóle nie dbał o opinię ludzką, tak lubiał raczej uchodzić za tego żołnierza przedewszystkiem, który ma swoją religiję męstwa i honoru, a o kwestie wiary osobiście się nie troszczy... On jednak w głębi o te kwestie bardzo się troszczył i najwinniejście dbał o to, by nowa Polska, jaką budował, była Bogu i Kościołowi wierna... Gdy po ponownem objęciu władzy nad krajem raz zapowiedział: Proszę oświadczyć Papieżowi, że póki Piłsudski rządzi Polską, nie się w niej nie stanie, co Kościołowi przyniosłoby szkodę — słowa tego najwierniej dotrzymał”.

W podobny sposób określa stosunek Piłsudskiego do Kościoła ks. Szczepan Szydłowski w *Ateneum Kapłańskim* (czerwiec — lipiec). „O swoich osobistych uczuciach ś. p. Marszałek Piłsudski nie mówił. Na głębsze zaznajomienie się z rzeczami wiary czasu zapewne nie miał. Ale nie ulega wątpliwości, że zachował z domu rodzicielskiego, pod wpływem matki, głęboką część dla M. B. Ostrobramskiej. Gdy w październiku 1919 r. wskrzeszono, za Jego głównie staraniem, stary Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, rozpoczynano uroczyste nabożeństwem wieczornem w Ostrej Bramie. Czekało na Marszałka, który tymczasem miał ważne rozmowy z delegatami Łotwy. Marszałek zawodu nie zrobił, przybył na to nabożeństwo, a na drugi dzień był z adjutantem na mszy pontyfikalnej... Znane jest opowiadanie Ojca św. o Piłsudskim, że Marszałek w jego obecności modlił się gorąco przed obrazem Matki B. Ostrobramskiej i sam dał poświęcić tam dwa obrazki Matki Boskiej, aby je następnie powiesić nad łóżkami córek... Prawo kościelne wymaga, aby na złożenie w Krypcie Katedry ciała osoby świeckiej było osobne zezwolenie Stolicy Apostolskiej. Metropolita, książę arcybiskup krakowski Sapieha, gdy szło o złożenie trumny z ciałem Marszałka w Krypcie Katedry wawelskiej odniósł się wskutek tego do Rzymu, a Stolica Apostolska na ten pogrzeb na Wawelu bez najmniejszej trudności się zgodziła...”

H. M.



CZŁOWIEK NOWOCZESNY
PODRÓŻUJE SAMOŁOTEM!!!
TANIO — WYGODNIE — SZYBKOO!!!

P O E Z J A

MIECZYSLAW JASTRUN. *Dzieje nieostygłe*. Warszawa 1935. Nakł. Inst. Wyd. „Sfinks”.

Nowy tomik wierszy Jastruna należy zaliczyć do elity wydawnictw poetyckich danego roku. Przy klasyfikacji jego wierszy niema wątpliwości. Rzadko w naszej masowej produkcji poetyckiej, w powodzi tomików, zetknęliśmy się z lirycznym gatunkowo tak czystym. Nawet pogłosy spraw społecznych, wycieczki polemiczne satyryczne nie wnoszą do tej poezji tonów epickich. Aura refleksji, związanej rytmem uczucia, daje wierszom Jastruna jednolitość, zwartość i pełnię zarówno formalną jak treściową. Trudno byłoby o tematykę wierszy Jastruna. Tematy rozprzeczają się w emocjonalnym żywiole liryzmu, dając jedynie obrazy stanów psychicznych, gdzie poza uporządkowanym chaosem pracy wyobraźni poetyckiej, zamkniętym w określony kształt słowny, wyczuwa się silny prąd jednoczący osobowości poety; gdzie dominujące przeżycie zamyka się w dobitny wyraz, jasno donoszący do świadomości czytelnika to, co było ważnym dla autora. I te ważne, istotne, spinające wiersz momenty nie objawiają się u Jastruna w formie point, lecz wiążą się mocno kompozycyjnie z całością poszczególnych utworów. Cechą, świadczącą o głębości i istotności powołania poetyckiego Jastruna, jest jego umiejętne ujmowanie w kształt słowny tych uczuć, stanów duszy, nastrojów, dla których niema słów, które trudno wyjaśnić, które zwykle określa się mianem „uczuć metafizycznych”. Przykładem niech będzie przejmująca w wyrazie zaduma nad tajemnicą istnienia, oddana w lapidarnym wierszu *U stóp drzewa*.

„Jeżeli kiedyś będę gnil, nawznak
Śmiercią w ohydny dół zwałony,
Jak —

Jak Ty, mój ojeze!
To poco słońce,
Wiatr i las zielony
I ptak,
Co nade mną śpiewa?

Teraz, gdy leżę, szczęśliwy, u stóp snu, nawisłego
drzewa”.

Poezja dla Jastruna, choć artystycznie stoi na wysokim poziomie formalnym, nie jest tylko rzemiosłem artystowskim, polegającym na składowaniu szeregów pięknozbrzmiałych słów, ale jest potrzebą i powołaniem jego umysłu, wyrazem formalnym rozwoju jego osobowości. „Nie wiersze rosną — rosnę ja zachwytem, gniewem, niepokojem. Nie wiem, daleko mi do dna, i wszystko dawne — już nie moje”. Spotkamy i w tym zbiorze sporo werbalizmu, lecz naogół nawet patos, w którym o werbalizm najłatwiej, nosi swoiste Jastrunowi cechy, ma własny i głęboki urok i wyraz, pełen treści wewnętrznej, jak naprz. w pięknym wierszu *Czaty*.

Atmosfera liryki Jastruna jest pełna tego niepokoju i niepewności, jakim nabrzmiewa współczesność. I tylko sztuka własna jest dla autora ostoją w chaosie hasła i programów współczesności. Nawarstwianie się dziejów, działanie czasu, mijanie wszystkiego, co żywe, i tryumf zimnego schematyzmu, doktryn i martwych zasad, z pomocą których usiłuje się urabiać plastyczną masę życia — oto zagadnienia, nurtujące poetę. Stąd też płynięcie gorzkiej, ucieczka do przyrody i jej kontemplacja. (Wiersze: *Utopiłoby poetę w łyżce własnej nudy, In memoriam, Poetes maudits, Marzenia standardyzowane, Protest, Dzieje i t. d.*). Żyjąca przyroda gra dużą rolę w lirykach Jastruna, gra rolę dramatyczną. Jest ona w ciągłym ruchu, dzianiu się, pełna patosu, grozy i tajemniczości. Przyroda też jest źródłem skąd autor najchętniej czerpie swe obrazy, jedne i barwne, w lapidarny kształt metafory ujęte. Właśnie tu zwiększył wyraz, unikanie wielosłowności nadaje swoistych i odrębnych cech liryce Jastruna (możnaby wiele jego metafor stawiać za wzór twórcom komicznych, awangardowych elips). Budowa jego wierszy przeważnie stroficzna, rytmika miarowa. Deformacje metryki — kompozycyjnie uzasadnione i służące podkreśleniu ważnych treściowo-emocjonalnych momentów wiersza. Aliteracje nie automatyczne i banalne, lecz umiejętnie dobrane i zestrojone z treścią znaczeniową zespołów słownych. („Wzleciały — oklaskami — ptaki. Plusnęły wierz zielone wiosła”). Autor upodobał sobie szczególnie wiersz 9-cio zgłoskowy. Dobrze stosowane wiersze katalektyczne różnego typu (przeważnie 10 i 9 zgłoszek, lub 11 i 10) oraz rymy męskie dodają wierszom charakteru siły i pięknie zamykają okresy rytmiczne. Wogóle rytmika Jastruna, jego odstępstwa od miarowości, dalyby sporo materiału do szczegółowej analizy dźwiękowej wiersza. W sumie — zbiór uocnej i oryginalnej liryki.

BRONISŁAW PRZYŁUSKI. *Dalacie ląki*. Toruń. T-wo Bibliofilów im. Lelewela. 1935.

Autor tomiku jest członkiem poznańskiego klubu poetyckiego „Prom”. Jest to już drugi zbiorek ciekawie zapowiadającego się talentu. Składa się ten zbiór z trzech cyklów: *Niepełne toki, Odkryte ślady, Zapomniany klomb*. W pierwszym cyklu zebrane są wiersze, że tak powiem, pejzażowe. Podłożem ich tematyki jest obecność z przyrodą. Są to proste i bezpretensjonalne, szczerze, nastrojowe liryki opisowe, o śpiewnej rytmice, budowie stroficznej, czterowierszowej.

Rytmika wierszy Przyłuskiego oparta jest przeważnie o metrum siedmiozłogłoskowe, które występuje w różnych kombinacjach. Albo w czystej formie siedmiozłogłoskowej, albo w wierszu 14-zgłoskowym (7+7), albo 12-zgłoskowym (7+5), i 11-zgłoskowym (4+7). Te formy wierszowe urozmaicenie — przez wiersze katalektyczne. Ciekawe próby hallad znajdujemy w drugim cyklu — *Odkryte ślady, Jamrozowy Chrystus, Honoru* — to dobre wiersze na ludową nutę. Ładny jest wiersz, w leśmianowskim stylu, *O Joannie, ca w nocy kochała*. Prawie wszystkie utwory Przyłu-

skiego wyrastają z dobrej tradycji Staffa i Leśmiana, są płynne i melodyjne. Autor nie wyszukuje jakichś wyjątkowych trudności formalnych do pokonania. Jest raczej zbliżony do typu ligawkowego śpiewaka „od serca i duszy”. Przy równym i niebanalnym poziomie wiersze jego wyróżniają się jednak na tle naszej młodej, snobizującej się na nowoczesność produkcji poetyckiej prostotą, bezpośredniością i dojrzałością. Należy jeszcze zwrócić uwagę na oryginalny ton nastrojowy, ton jasności i spokoju, panujący w utworach Przyłuskiego.

WŁADYSŁAW SEBYLA

P O W I E Ś Ć

JADWIGA WOKULSKA. *Skarb w Ibrahimcach*. Wilno, 1935.

P. Wokulska jest autorką tomu poezji p. t. *Płonący Dom*, ale w prozie występuje po raz pierwszy. Znaczący odrazu, że debiut p. Wokulskiej wypadł dość obiecująco. Książka posiada gładki, zręczny styl, niektóre sceny napisane zostały w sposób sugestywny, tok opowiadania świadczy o znacznej wnie pisarskiej. Liryczna nastrojowość, uzyskana przez autorkę w noweli tytułowej, wskazywała na pewne możliwości w zakresie efektów powieściowych, na umiejętne dematerializowanie zdarzeń i szczęśliwą zdolność oddawania przeżyć. Mimo, że p. Wokulska nadużyła trochę owego emocjonalnego sposobu pisania i przesłoniła mglistą liryką charaktery i realne konflikty — *Skarb w Ibrahimcach* zawiera stronicę, zasługującą na miano prozy literackiej.

Liczne braki kompozycyjne są nie do uniknięcia dla debiutantki i dlatego przemilczymy je tutaj, obok trafiających się usterek języka oraz widomych niezręczności w kreowaniu osób. Chcemy natomiast jak najwymowniej podkreślić niewspółczesność książki.

Ta niewspółczesność rozciąga się zarówno na formę powieści, jak i na treść. P. Wokulska wprowadza czytelnika w świat ziemski z okolic Wilna, pod dachy starych dworców, otacza go przestronnymi posadami i atmosferą flirtu lub miłości. Sąsiedzi i sąsiadki podkochują się w sobie wzajemnie, sentymenty płaczą się kapryśnie w pięknej oprawie przyrody. Przyznajemy powonnie, że p. Wokulska rozporządza pewnym wdziękiem pisarskim, że potrafi niekiedy zasugerować subtelne odmiany wzruszeń i doznań. Niestety, rzadko wykracza poza skądinąd dobrze znane motywy powieściowe. Owe scherza przy księżycu, gdy wiatr dmucha w muślin firanek, owe bałe, podpatrywane oczyma chłopskich dzieci, owe wyjazdy zagranicę i powrotne zachwyty nad urodą ziemi rodzimnej — dzisiaj już trzęcą starzyzną. W relacjach p. Wokulskiej wyczuwamy fałszywość literackiego konwensu. Nie będziemy przekonywać autorki, iż wiele się w ostatnich czasach zmieniło, zbyt wiele, aby można było z większym powodzeniem wskrzeszać przedwojenny romans ziemski. Aura bowiem *Skarbu w Ibrahimcach* wynika ponad wszelką wątpliwość z przestarzałego modelowania powieści.

P. Wokulska posiada dużą wrażliwość, która pozwala jej eksponować liryczne stany wewnętrzne. Dla napisania dobrej książki winna jednak nauczyć się sumiennej i bezpośredniej obserwacji i otrząsnąć z pod uroku starszowiejskiej literatury.

WANDA SERBENSKA. *Niedopita szklanka*. Lwów 1935.

P. Wanda Serbńska napisała zbiór drobnych opowiadań, które nie nie znaczą. Jest to cecha wyróżniająca książkę. Rzadko się bowiem zdarza, aby ktokolwiek na kilkudziesięciu stronicach druku mógł i chciał opisywać rzeczy tak literalne zasadniczo obojętne. Zapal i młodzieńcza wiara, z jaką to czyni autorka, uosobia nas względem jej przyszłości bardzo pesymistycznie.

Nagłówek tomiku, wiążący się z trzema wstępami historyjkami, stanowi daleki refleks efektów filmowych. Jak wiadomo t. zw. martwa natura może czasem na ekranie charakteryzować wymownie osobistości czy sytuację. Oto naprzekład zbliżenie popielniczki pełnej wypalonych papierosów świadczy o silnym zdenerwowaniu bohatera. W opowiadaniu p. Serbńskiej owe niedopite szklanki prawdopodobnie miały być czemś takim. Nie chcemy zniechęcać czytelnika zwróceniem uwagi na zupełny brak związku między szklankami a resztą przedmiotów i wydarzeń, przedstawionych w tych nowelkach. Pośpieszamy tylko wyrazić obawę, że kontynuując tak o solbliwie rozpoczęty cykl, autorka sięgnie koleji do kubków i filiżanek. Zasobny sortyment naczyń stołowych zdaje się wrócić p. Serbńskiej długotrwale karierę literacką.

ANASTAZJA DREWNOWSKA. *Niewierny Tomasz*. Powieść. Warszawa. Wydawnictwo Współczesne.

Akcja przebiega na wsi, gdzie odpalony przez dziewczynę amant rozpija się i trwoni ojcowiznę. Po pewnym czasie strony się porozumiały, lula, lula wytrzeźwiał i zawarto małżeństwo. Oto niewybredna fabuła książki, idąca w parze z banalnością opisu i dialogu.

Naskutek zupełnej nieznajomości terenu i chłopstwa p. Drewnowska wywarła swą książką wrażenie specjalne. Wydaje się, jakgdyby wszystkie osoby ucharakteryzowane na chłopów grały kiepski teatrzyk amatorski zapomoczą naiwnych środków scenicznych i bez doświadczenia. Szaleństwa Antka bohatera w żydowskiej karczmie przypominają lokale dancingowe, widok zaś setek złotych w rękach wiejskiego bankietowicza płoszy z przed oczu czytelnika fałszywe obrazy nędzy na wsi polskiej. W tym też sensie czytanka p. Drewnowskiej należy do t. zw. literatury krępięcej. Nie możemy dociec zamiarów, jakimi powodowała się autorka, ryzykując te chłopską maskaradę. Przypuszczamy jednak, że — jeśli już książkę uznać za konieczną — byłoby lepiej zrezygnować ze wsi i ograniczyć się do miasta. Ale sama zmiana niefortunnego tematu nie wystarczy

dla odrobienia licznych braków powieściowej techniki, której p. Drewnowska poświęca mało uwagi i staranności.

VAL GIEŁGUD: *Skarb Carów*. Powieść. Nowa serja „Roju”.

Powieść sensacyjna zasadza się na zręcznym platanu i rozwiązywaniu wątków, na błyskotliwych pomysłach sytuacyjnych, na uprawdopodobnieniu zaryzykowanych niemożliwości. Pisarz ignoruje tło i charaktery, całą natomiast uwagę skupia na pokrzyżowanych przebiegach fabuły, która w napięciach niespodzianki i logice wyjaśnienia winnaby ujawnić opanowanie techniczne tego najpoczytniejszego gatunku prozy.

Val Giełgud, rozporządzając środkami popo-litego romansu, podjął intrygę w zbyt wielkiej skali. Związanie losów dwojga bohaterów z olbrzymią aferą polityczną zemściło się na książce dotkliwie, chociaż miało służyć do podwołania ładunku sensacji. W skąpych ramach romansowych owe globalne sprawy ras i części świata przybrały groteskowe rozmiary prywatnych kłopotów dzielnego oficera Polaka i przedsiębiorczej Amerykanki. Mimo, że helletystyka taka ma wszelkie prawo do pobłażliwości czytelnika, i tutaj przecie obowiązuje pewna miara, jeśli już nie realizmu to doręczności, której bezkarnie przekraczać nie wolno. Powieść sensacyjna jest jednowarstwowa, powierzchowna, ale w obrazie stosunków zblizona do prawdy, w relacjach życiowych, chociażby najpiłszych, różniąc się od nieodpowiedzialnego fantazjowania.

Tymczasem postacie ze *Skarbu Carów* bawią się w chowanego po całej kuli ziemskiej i odnajdują w decydujących momentach z równą łatwością, jakby obszarem ich zabawy była jedna kwatery ogrodowa. Dzieje cywilizacji zależą od przebiegłości i dowcipu młodej dziewczyny, oczywiście przystającej i gustownie ubranej. Akcenty naiwności pojawiają się w fabule niekiedy z taką siłą, że niweczą całkowicie jej pozorny realizm, a przez to jakgokolwiek rację istnienia książki.

Dla polskiego czytelnika niepozobawiona pikanterji będzie obecność Polaków w tej powieści, tłumaczonej z angielskiego. Sposób, w jaki się autor wyraża o naszych cechach narodowych, jest równie kurtuazyjny jak zdawkowy. Na uwagę zasługują wyraźne rozróżnienie przez Giełguda Czechów, Rosjan i Polaków. Okoliczność — gdy się weźmie pod uwagę dystans londyński — zeszechniar godna uznania. Tłumaczy ją fakt polskiego pochodzenia autora, potomka generała z czasów powstania listopadowego.

ZHIGNIEW KUCHARSKI

T E A T R

TEATR POLSKI: *Król*, komedia w 4 aktach G. de CAILLAVET, R. de FLERS i R. ARENE, reżyserja Karola Borowskiego, dekoracje Stanisława Słwińskiego.

Raptnie zestarzała się ta komedia w ostatnich czasach. Jeszcze przed paru laty mogła przebiec lekkim krokiem spory szmat Europy, wzbudzając złośliwy śmiech aktualności swojej satyry. Gdziekolwiek zatrzymała się na scenie, wszędzie była u siebie. W każdym stołecznym teatrze miała w głębi rządowej łoży cel dla strażówk dowcipu. W jednym mieście był to leader socjalistyczny i posiadacz akcji cięższego przemysłu. W innym „stary radykał z roku 48-go” i snob arystokratyczny. Pierwszy dostał był świeżo purpurowy płaszcz, dający rzadki przywilej wjeżdżania konno do wszystkich mieszkań prywatnych w środkowej Persji. Drugi ubiegał się do utraty tchu o wstęp na wysokie pokoje utytułowanego dumia. Lotne szwyderstwa sztuki były w nich jak w „jasne święce”. Wśród żartów, ani zajadłych ani mściwych, dokonywała się niezmiernie pożyteczna konfrontacja doktryn głoszonych na cudzy użytek i uczynków spełnianych ukradkiem na użytek własny. Nie chodziło w niej o narzucenie surowego ascetyzmu doktryny — rzecz jest oca atmosferze sztuki, wyrosłej w kraju, który zdobywa się raczej przy ocenie ludzi na sceptyczny uśmiech. Jeśli porównanie wielkich słów i mizernych ambiczyek pobudziło do parsknięcia śmiechem w nos ludzi rzucających się łakomie na zastawione przez władzę stoły, nie trzeba było nic więcej. Zuchwałstwo tego śmiechu w społeczeństwach nienuwykłych do przyglądania się rządzącym zbliska stawało się znakomitym nauczycielem dobrych obyczajów.

Teraz śmiech ten w zmienionych warunkach brzmi inaczej — nie jest już zuchwały, jest raczej przywilny. Nie zbrakło wprawdzie jak ręką odjął dorobkiewiczów władzy, łapczywych na jej dostatki i honory. Zamienili tylko płyty na swoich gramofonach — zamiast starych z pochlebstwem dla wyborców, dali nowe z pochlebstwem dla dyktatora, rasy, imperjum. Magiczny frazes wcale niezgodny niż poprzednio ozdabia im fraki gwiazdani orderów, przemienia w amfiladę sal dawne ciasne mieszkanka i sprawdza limuzyny przed pałac. Ale złośliwość sztuki może ich razić tylko odbita oszłonionym i mało szkodliwym rykoszetem. Nie uderza już wprost, otwarcie. Satyra komedji została zbyt silnie związana z określonym systemem politycznym, aby mogła wzbudzać wrażenie drwiny z każdego karjerowicza władzy, nie zaś tylko z karjerowicza władzy parlamentarnej. To zaś sprawa, że w tych nieczystych chwilach gdy któryś z dowcipów — zbrutalizowanych w przekładzie — trafia we wspomnienia dochowane lepiej, doznaje się uczucia zażenowania. Sztuka posuwająca się choćby do szczypania przeciwników powalonych bardziej naraża się na wzgardę niż człowiek. Sztukę obowiązuja bowiem w znacznie większym stopniu zasady gentlemanstwa.

Inscenizacja nie wniosła nowych pomysłów do tradycyjnego sposobu wystawiania tej komedji w Teatrze Polskim — odchyło się więc tem mniejszym kosztem, że *Król* odwiedza tę scenę o parę lat. Aktorzy dali w głównych rolach parę

kreacji wybitnych. *Król* Maszyńskiego stracił nieco od ostatniego razu na tupecie i fantazji, ale zyskał na podobieństwie do żywego człowieka. Poseł Samborskiego zachował swą rozpaloną ambicję i swój wilczy głód wyróżnień. Bardzo dobrze zaprezentowały się role kobiece. Zona posła w ujęciu Romanówny miała istotnie trochę niezgrabną kokieteryję, bezwidną lekkość moralną i zdrowy rozsądek paryskiej midinetki. Aktorka Mili Kamińskiej przez śliskie sytuacje sztuki przeszła z dystynkcją, wykazując imponujące wyrobienie towarzyskie i dużo życzliwości dla aktualnych kołanków.

BOHDAN KORZENIEWSKI

*

TEATR KAMERALNY: *Mysz kościelna*, komedia w 3 aktach L. FODORA (z węgierskiego). Reżyserja T. Trzczińskiego.

Ta grana już u nas przed kilku laty komedijka miała w całej Europie powodzenie niebywałe. Raz dlatego, że daje aktorom pole do popisu w roli tytułowej, cały t. zw. rejestr różnych sposobów zachowania się: energja, zuchwałość, radość, smutek, rozmarzenie, i t. p. A po wtóre dlatego, że jest pod względem socjalnym tak symptomatyczna — i kryzysowa. Z dwóch pobitych państw, z Austrii i z Węgier, otrzymujemy takie sztuki, jak np. świeżo komedję *Zuzydzylem kryzys*. Bohaterem jest w nich tupet z odrobina naddunajskiej melancholji; tupet zdobywczy, jak w angielskich i amerykańskich komedjach finansowych, ale na tle rozpacz, pod hasłem: nie dajmy się; jest w nim coś kleskowego. Krasieńskiego zastępuje im Fodor i Molnar. Dzielną stenotypistka Zuzia wdiera się do banku, zdobywa pracę, zostaje sekretarką szefa, a potem dzięki swej sprytniej a zarazem szczerzej taktyce kobiecej, jego żona. Zuzia ziszcza w sobie ideał biuralistek, o ile chodzi o nową drogę do zamążpójścia, ale o ile chodzi o pracę, to już mniej. Pod względem pracy to Zuzia ziszcza raczej ideał wszystkich szefów: szybko pisze, świetnie się orientuje, zgaduje myśli szefa, umie się solidaryzować z jego radościami i smutkami, nie przeszkadza kokieteryja. Zuzia jest — że tak rzekę — istnym wołem roboczym, albo jeżeli się zważy jej polot biurowy, istnym orłem czy orlicą pracy. Nowoczesne maszynistki jednak, obawiam się, wzorują się raczej na Oli, pracują „jak za napaścą”. Każda się spieszy na randkę. To jest to co irytuje szefów. Zuzię powinny maszynistki wygwizdać, jeżeli nie obić... Mimo to cały kobiecy świat biurowy ubóstwia Zuzię, podobno zaawansowała ona już bardzo wysoko, bo stała się bohaterką filmową. Czemu? Bo ma zępację.

Konieczne jest tę sprawę ciąć także ze stanowiska komunistycznego. Ta Zuzia, ta drobno-mieszczkańska zdradczyni proletariatu, nie ma nic a nic poczucia klasowego. Podlizuje się szefowi, obniża gwałtownie cenę pracy, powiększając jej jakość, niezdatna ani do strajku ani do sabotażu, niekoleżeńka, bo ubiega wszystkie koleżanki; a i kokietuje też, kokietuje nową metodą: pracą! Fodor został kupiony przez szefów, aby zdingował maszynistki, wystawił im ideał pracy — styloryzowane! Co mają robić te biedne dziewczęta? No wiadomo, zrzeszać się, organizować się, wstępować do partji, czekać na rewolucję.

Dobrze, ale tymczasem? Iść z pracą w dół, we-dle pracy? Czy być takim ideałem sumiennosci i pracowitości jak Zuzia?

Sprawa zaiste warta artykułu wstępnego, z pod tytułu socjologów naszego *Pionu*. pp. Szczurowskiego, Suchodolskiego czy prof. Bystronia.

Zuzie grała pięknie, świetnie i z rozmachem p. Zaklicka. A ta rola jest właśnie dlatego trudna, że gra się sama, że niełatwo odróżnić zasług samej roli od zasługi aktorki. Jedno „ale”: p. Zaklicka na pewien timbre w głosie, nad którego usunięciem pracownicy powinna. Pochwały godny jest p. Strzelecki w roli dyrektora za swą grę psychologiczną, dalej p. Roslan w roli twpowego starego buchaltera, p. Kraszewska jako wdzięczna reprezentantka „drugiej metody” w robieniu kariery biuralistycznej.

KAROL IRZYKOWSKI

I D E E

WACŁAW MAKOWSKI: *Reklama polityczna a t. zw. wola społeczna*. Wyd. II, Warszawa 1934, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”.

Zagadnieniem centralnym nauki o państwie jest niewątpliwie problem władzy, konstrukcji podstawowej funkcjonarjuszy i funkcji państwowych. Ażby jednak kwestję tę rozważyć obiektywnie, więc — naukowo, konieczna jest odpowiednia postawa badającego. A o tę właśnie powiedzmy to odrazu — było i jest jeszcze ciągle niezmiernie trudno. Przedewszystkiem dlatego, że sentymenty „polityczne” badacza zasłaniały ostro, wyraźny, niestronny punkt widzenia. Uczony, oczywista, może mieć i niewłaściwe przekonania „polityczne”, musi jednakże odseparować się od nich wyraźnie, jeśli chce się znaleźć na platformie naukowej.

Obok przeszłości natury emocjonalnej wchodzi tu w grę — tradycja, stare, odwieczne nawyki myślowe. Koncepcja władzy „z Bożej łaski” miała „kurs” przez długie wieki, a była to konstrukcja bardziej lub mniej teologiczna, w każdym razie — nie naukowa. Gdy zmieniły się warunki i poglądy społeczne, — naskutek reakcji przeciw absolutyzmowi monarchów — miejsce poprzedniej koncepcji zajęła inna, ale niemniej tajemnicza owiana, „mistyczna” władza „woli ludu”.

Jest rzeczą charakterystyczną, choć niedostatecznie opracowaną (tylko w pewnej mierze styczny punkt widzenia obrał Vaihinger w *Die Philosophie des Als-Ob*) — a studjum takie byłoby nie tylko niezmiernie interesujące, ale i nau-

kowo nader płodne),—jak pewne mętne pomysły pod osłoną gładkiego frazesu stawały nietykalne „tabu” i wskutek tego tamowały rozwój jednej dyscypliny. W „naucz” o państwie takim frazesem była „wola ludu”. Doszedłszy do tego punktu, mówić się: stop! to jest *politicum*, tego w naukowych wywodach nie ruszamy. Wynik był ten, że „wola ludu” z konstytucyj wędrowała do podręczników i rozpraw, następnie odwrotnie—i tak w kółko.

„Wolę ludu” znajdziemy we wszystkich niemal konstytucjach, nawet powojennych. „Interesujące” łączy obie koncepcje wstęp do konstytucji Rumunii z 1923 r. Głosi on: „Z Bożej łaski i woli Narodu Król Rumunii”, mimo, że art. 33 ogranicza się do lapidarnego, stwierdzenia, że „wszystkie władze państwa pochodzą od narodu”, mając prawdopodobnie jako przesłankę *vox populi—vox Dei*.

Tak więc „wola ludu” można operować w dowolnych kombinacjach. Mimo to jednak—na wszystko czas przychodzi—warto było się zastanowić nad tem, jaką treść kryje owa „wola ludu”. Agitacyjno-postępowa (w czasach absolutyzmu) hasło Roussa i następców wraz ze zmianą rzeczywistości społeczno-politycznej stepiło swe ostrze, straciło blask i trwało jedynie siłą bezwładu.

Gdy trochę ustąpiły fale emocji, zdrowy rozsądek mógł też dojść do głosu. I tu—a wypadek to bynajmniej nie odosobniony—obserwować możemy zbieżność *common sense* i kultury metodologicznej w podejściu do zagadnień. Trzeźwi Amerykanie z dużą świeżością—choć nie zawsze z dostatecznym pogłębieniem metodologicznym—rozpoczęli próby naukowego ujęcia zagadnień „politycznych” (informuje o tem np. Ch. E. Merriam w *New Aspects of Politics*. Chicago 1925, a także w rozprawie *Recent tendencies in political thought* w IV tomie *A history of political theories*, poświęconym prof. W. A. Dunning). Amerykanie (U. S. A.), nieobarcazeni balastem tradycji wyboru pewnych zagadnień naukowych, wrócili swe zainteresowania w kierunku, który w „starej” Europie leżał niemal „odłogiem”. Nie mieli zrozumienia dla „tabu”, wkroczyli na tereny dziewicze.

W tym swoim pędzie „beztradycyjnym” dotarli próbami badania psychologicznego i socjologicznego nietylko do zagadnień „politycznych”, ale także do takiego *nozum*, jak kwestja reklamy, która w Stanach Zjedn. Am. Płn. jest kwestją pierwszorzędą i to nie tylko w życiu gospodarczym.

Prof. Waław Makowski skupił w swej pracy, wymienionej w nagłówku tych uwag, wyniki badań nad reklamą. Odnajdując się one (przedwzrostkiem poglądy (French) bezpośredniością i dużą sugestywnością, spotęgowaną plastyką sformułowań. „Jesteśmy psychicznymi gąbkami i wchłaniamy wszystko, co splywa na nas”—powiada French, a Mataja dodaje: „Słabość myślenia jest siłą reklamy”. Oczywiście, można się o niej jedno postrzeczając z „teoretykami” reklamy, przedwzrostkiem o ich nastawienie na ludzi, którychby—zapewne—określili jako „przeciętnych”, nie starając się o większą precyzję. Nie uwzględnia się tu „typu” oponenta, malkontenta, wcale znów nie tak bardzo rzadkiego. Mimo wszystkich jednak zarzutów, przynajmniej się musi, że sama myśl podstawowa—mimo pewne ograniczenia i zastrzeżenia—jest słuszną i płodną. Niewątpliwie—tędy droga!

Prof. Makowski, przemysławszy zagadnienie reklamy, dochodzi do wniosku, że niema powodu ograniczać problemu wyłącznie do handlu czy przemysłu. Rdzeń zagadnienia się nie zmieni ze zmianą dziedzin przedmiotów reklamowanych lub sposobów reklamy. W Stanach Zjedn. reklamuje się nabożeństwa, reklamuje się tembardziej pewnych ludzi jako kandydatów na pewne stanowiska polityczne z wyboru. Tak reklama wpływa na „wola ludu”. Jest ona—według prof. Makowskiego—„zbiorową aprobatą indywidualnej inicjatywy”. „Czynność zdobywania aprobaty łączy się... z czynnością reprezentowania woli ludu”. „Zródło rzekomej woli ludu tkwi w działalności agentów, którzy własne lub cudze koncepcje wtłaczają w życie psychiczne społeczności i czynią z nich bodźce postępowania ludowego...” Tak przepala się frazesy o „woli ludu” w ogniu trzeźwego, zgodnego z rzeczywistością spojrzenia.

Pewne ustalenia teoretyczne pociągają odpowiedzialne konsekwencje w zakresie polityki prawnej i—faktycznej. Prof. Makowski konkluduje: „Od nas samych w znacznym stopniu zależy, czy będziemy zdani na łaskę przypadków, czy też potrafimy pokierować konieczne rozwiązania trudności życia społecznego świadomie i rozumnie ku powszechnemu dobru. Liczenie się z wrażliwością psychiczną społeczeństwa, czynienie zadość jej potrzebom, kierowanie jej nastrojami tak, aby z nich wyrosły społecznie pozytywne decyzje i czyny—oto jest zadanie wielkie i możliwe do spełnienia”. Znaczenie reklamy jest tu doniosłe. Sprowadza się ono do tego, by nie nadużywali jej reklamujący dla celów osobistych, bądź dla szczenia nienawici i t. p. Ich wysoki poziom moralny z jednej, a „podniesienie poziomu obywatelskiego wyrobienia społeczeństwa z drugiej strony”—oto, co mogłoby stanowić tamę dla nadużyć.

Praca prof. Makowskiego, oparta na solidnych podstawach, napisana jasno i przejrzysto, zasługuje ze wszech miar na uwagę. Ze ocenia się u nas należycie—mimo wszystko—wartość dużych osiągnięć, o tem świadczy choćby to, że studjum w niedługim stosunkowo czasie ukazuje się w drugim wydaniu. Myślę, że powodem tego uznania jest fakt przełamania przez autora z talentem starych szablonów i wkroczenia na nowe tory, które jedynie mogą umożliwić rozwój wspomnianej nauki. Sformułował to trafnie

prof. Tadeusz Kotarbiński: „im bardziej doskonalili się dana dyscyplina praktyczna, tem więcej stosunkowo pracy w niej zajmuje dociekanie prawd z innych dziedzin, potrzebnych do użytkowania ich do głównych celów tej dyscypliny praktycznej”¹.

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 23 marca 1935 r. Komentarz opracował Mgr. Jan Dincés. Warszawa 1935, Wydawnictwo Księgarni Szyllinga.

We wstępie autor komentarza przedstawia w krótkim zarysie etapy zmian ustrojowych w Polsce Odrodzonej (1918—1935).

Podwaliny ustroju kładł Marszałek Piłsudski, wydając 22 listopada 1918 r. dekret „o najwyższej władzy reprezentacyjnej” (Marszałek Piłsudski bowiem przejął stanowisko władzy najwyższej z rąk Rady Regencyjnej, powołanej manifestem cesarza austriackiego i niemieckiego z 12 września 1917).

Następny akt—to uchwała Sejmu Ustawodawczego z dn. 20 lutego 1919, znana pod nazwą „Małej konstytucji”.

17 marca 1921 r. uchwalono Konstytucję. Zmieniono ją tylko raz nowelą konstytucyjną z 2 sierpnia 1926 r.

Komentarz do nowej Konstytucji opracował p. Dincés w ten sposób, że pod odpowiednim artykułem wydrukował swoje uwagi. Przeważnie ograniczają się one do wskazania analogicznego artykułu Konstytucji z 1921 r., przyczem autor uwidatnia różnicę między nowym a dawnym przepisem. Ten sposób komentowania ma swą rację bytu—w wyjaśnieniu treści normy. Porównanie jednakże nie zawsze jest wyjaśnieniem. Cóż np. wytłumaczy laikowi—komentarz p. Dincésa nie jest przeznaczony dla konstytucjonalistów—komentarz do art. 35? Ust. 1 tego artykułu stanowi, że „Sejm będzie zwołany na pierwsze posiedzenie w nowej kadencji nie później niż trzydzieste dnia po ogłoszeniu wyniku wyborów do Izby Ustawodawczej”. Komentarz ogranicza się do przypomnienia, że Konstytucja z 1921 r. „w art. 25 ustalała termin zwoływania Sejmu w nowej kadencji na pierwsze posiedzenie na trzeci wtorek po dniu wyborów...” Szczegół to drugorzędny, który bez żadnej szkody można byłoby pominąć, a zamiast tego należało wyjaśnić sens przepisu.

Autor bywa często zanadto lakoniczny. Art. 7 np., który ma kapitalne znaczenie w konstrukcji ustrojowej nowej Konstytucji, „zaopatrzył” p. Dincés takim ogólnikiem: „Artykuł ten jest wyrazem prawdziwej pojętej demokracji społeczeństwa—równania ku górze”. To stanowczo należało rozwinąć!

Zdarzają się też autorowi bardzo jaskrawe lapsusy, jak ten, że Konstytucja z 1921 r. czyniła Prezydenta Rzeczypospolitej „tylko szefem władzy wykonawczej, *primus inter pares*” (!).

Tak więc poważne minusy wykazuje „wykonanie” w myśl przera autora wybranej metody komentowania.

Oczywista, ona sama posiada tę główną wadę, że nie pozwala na narysowanie jasnego obrazu nowej koncepcji ustrojowej, rozwinętej w Konstytucji z 1935 r. Temu zadaniu sprostać może jedynie komentarz ujęty systematycznie.

AL. S.

¹ *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk*, str. 455.

KRONIKA

MICHAŁ BOBRZYŃSKI (* 1849 † 1935)

Zgon wielkich ludzi budzi nie tylko akt żalu i żaloby, ale zazwyczaj zniewala do rozpamiętywania i oceny epoki, w jakiej oni żyli, i indywidualnych ich dzieł, które współtworzyły tę epokę. Do dwóch właściwie epok należał s. p. prof. M. Bobrzyński, mianowicie do czasów pozytywizmu, w których największe stworzył dzieła naukowe, oraz do czasów tworzenia i zdobycia Niepodległości Polski, które w pewnej mierze potwierdziły słuszność wielu tez historycznych, zdefiniowanych i wyznaczonych przez tego znakomitego dziejopisarską, bystrego obserwatora i wybitnego praktyka prac politycznych. Swoje wyznania i oceny przebiegu faktów dziejowych Rzeczypospolitej zawarł prof. M. Bobrzyński głównie w *Dziejach Polski w zarysie* tudzież w trzutomowych *Dziejach Polski*, które są owocem niezwykłego talentu i rozumu ich autora. Jakkolwiek przesadne sądy krytyczne o rządzie i nierządzie Rzeczypospolitej, chylące się wskutek własnej jedynie winy i nieudolności do upadku—wzbudzały poczucie słabości i niemocy, i były odrzucane przez wierzących w konieczność zbrojnego porwy, by strącić jarzmo niewoli, to jednak wyraźne postawienie jako niezbędnych warunków niepodległego bytu i rozwoju narodu: własnego państwa, silnego wojska i zasobnego skarbu—zlewały się z programem tych, którzy nie wahali się zerwać z hasłem jedynie pracy organicznej i parli ku tworzeniu i realizowaniu hasła heroicznych, organizowania kadr wojska polskiego i zastępu przyszłego Rządu Narodowego. To też nie dziwne zgoła, że potępienie szaleńczych walk o niepodległość nie mogło się spotkać z afirmacją u tych, którzy w nieudanych powstaniach narodowych widzieli konieczne do utrzymania Narodu próby z zerwaniem przemocy zaborców i ich grabieżczego stosunku do społeczeństwa polskiego, niekiedy—zdawało się—przyzwyczajającego

się już do tej „konieczności dziejowej”. Wśród pokolenia, przygotowującego zbrojną walkę z trójjajłizmem, ważną podniętą były fakty historyczne, stwierdzające długie i chwalebne okresy świętosci państwowości i kulturalnej, oraz rozumu polityki mocarstwowej Polski. Stąd poszła niechęć do krakowskiej szkoły historycznej, siejącej jednak—w dziełach mądrych i wspaniale pisanych—pesymizm i wątpliwość. Stąd wyrosło niesprawiedliwe—trzeba to otwarcie przyznać—stronienie od dzieł s. p. prof. Bobrzyńskiego wczoraj—gdy one dziś stanowią winny przedmiot wnikliwych i wiele wyjaśniających studjów.

W pracy politycznej s. p. prof. M. Bobrzyńskiego, głównie w charakterze lidera stronnictwa konserwatywnego i namiestnika Galicji przebiega najwyraźniejszą barwą zrozumienie konieczności i wola sprawiedliwego stosunku do narodu ukraińskiego. Do dziś Jego program w stosunku do mniejszości narodowych nie stracił na aktualności. Do dziś dnia bezwzględna krytyka nacjonalizmu i polityki narodowej demokracji nie może nie znaleźć adherentów. S. p. prof. M. Bobrzyński był przewidującym mężem stanu i rzetelnym budowniczym zakrojonego na dużą miarę programu narodowego i politycznego.

Zanim zamieścimy o s. p. prof. Bobrzyńskim dłuższe wspomnienie, pragniemy oddać Zmarłemu głęboki hołd za długą i owocną pracę dla Polski, bez wytępienia i bez kompromisu podejmowaną i realizowaną.

Czytelnik Pionu wysłucha w „Polskim Radjo”

MIĘDZY 28. VII. A 3. VIII. 35 R.

28. VII. g.

- 11:00: Transmisja z Lipska. *Die Kunst der Fuge* J. S. Bacha w opracowaniu instrumentalnym Wolfganga Graezera. Wykonawcy: Lipska Orkiestra Symfoniczna pod dyrykcją Hansa Weisbacha, Herbert Collum (organy), Walter Zöllner i Friedberg Sammler (klawesyn).
- w przerwie Teatr Wyobraźni nadaje fragment słuchowiskowy z komedji J. I. Kraszewskiego *Miód kaszelański* (Poznań).
- 13:00: *Za morzami—u brzegów słonecznej Afryki*—feljeton Z. Dreszera.
- 16:45: *Poeta—pisarz—myśliciel* (Juljan Ejsmond)—szkie liter. M. Mniszek-Tehorzniński.
- 20:00: Wyjāti ki z pism Józefa Piłsudskiego.
- 21:00: Koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr. J. Ozimieńskiego z udziałem K. Wilkomirskiego (wiolonczela).

29. VII. g.

- 16:50: Codzienny odcinek prozy: *Przerwana pieśń*—opow. J. Ejsmonda.
- 19:50: *Co czytać*—szkie liter.—omówi W. Rogowicz.
- 21:00: Koncert polskiej muzyki symfonicznej w wyk. Orkiestry P. R. pod dyr. G. Fitelberga z udziałem Z. Drzewieckiego (fortepian).

30. VII. g.

- 16:50: Codzienny odcinek prozy: *Baltyk z lotu ptaka*—fragm. z noweli K. Makuszyńskiego.
- 18:10: Minuta poezji: wiersz Kazimierza Laszkowskiego.
- 19:30: Charakterystyczne drobniaki fortepianowe Łucji Drège-Schiellowej, w wykonaniu autorki.

31. VII. g.

- 16:50: Codzienny odcinek prozy: *Dziewczę z kabaretu*—humoreska A. Czechowa.
- 17:00: Koncert kameralny w wyk. Warszawskiego Kwartetu smyczkowego.
- 21:00: Koncert chopinowski w wyk. Marji Wilkomirskiej.
- 21:30: Ze wspomnień o Piłsudskim—*Komendant jako mówca i pisarz* wygl. J. Kaden-Bandrowski.
- 21:40: Koncert polskich pieśni ludowych w wyk. A. Szlepińskiej.

1. VIII. g.

- 16:50: Codzienny odcinek prozy: *Pani Nowakowa*—fragm. z pow. *Ci ludzie*—H. Boguszewskiej.
- 18:10: Minuta poezji: wiersz E. Zegadłowicza.
- 21:00: Recital śpiewaczy M. Saleckiego.
- 21:30: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. *Fräulein Doktor* J. Tepy.

2. VIII. g.

- 16:50: Codzienny odcinek prozy: *Naparstek*—nowelka W. Grubińskiego.
- 21:00: Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry P. R. pod dyr. G. Fitelberga.

3. VIII. g.

- 16:25: Recital fortepianowy St. Nawrockiego.

- 16:50: Codzienny odcinek prozy: *U mety*—opow. Z. Bartkiewicza.
- 18:10: Minuta poezji: wiersz J. Paczkowskiego.
- 21:30: *Dzień świąteczny na Południu*—koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry P. R. pod dyr. G. Fitelberga.

Książki nadesłane do Redakcji

POWIEŚĆ

VAL GIEŁGUD: *Skarb Carów*. Powieść. Nowa serja „Roju”.

B. W. LEWICKI. *Młodość przed chramem*. Lwów 1935.

POEZJE

JERZY PIETRKIEWICZ: *Wiersze o dzieciństwie*. Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej.

NAUKA I WYCHOWANIE

KSIĄZKA W PRACY OŚWIATOWEJ. Staraniem i nakładem Sekcji czytelnictwa i bibliotek Komitetu Głównego Tygodnia Książki Polskiej w listopadzie 1933 roku. Warszawa 1935.

Teatrzyk kukielek. W opracowaniu J. Cierniaka, M. Kownackiej, J. Landy, A. Palińskiego, W. Ulanowskich pod redakcją MARIJ KOWNACKIEJ. Z rysunkami i tablicami w tekście. Warszawa 1935. „Nasza Księgarnia”.

STANISŁAW LISOWSKI: *Współpraca szkoły z domem*. Wstęp napisała Marja Grzegorzewska. Warszawa 1935. „Nasza Księgarnia” (Z praktyki szkolnej Nr. 25).

STANISŁAW MIERCZYŃSKI (zebrał i opracował): *Pieśni Podhala* na 2 i 3 równe głosy. Ilustrowała Janina Konarska. Warszawa 1935. Wyd. Związku Nauczycielstwa Polskiego.

BOGDAN SUCHODOLSKI: *Kultura i osobowość*. Wypisy z dzieł myślicieli polskich XIX i XX wieku. Z 16 portretami. Warszawa 1935. „Nasza Księgarnia”.

JAKÓB ZYLBERBERG: *Szkolnictwo powszechne w Austrii pod rządami socjal-demokratów* (Austriańska szkoła podstawowa). Warszawa 1935. „Nasza Księgarnia” (Biblioteka dzieł pedagogicznych Nr. 47).

F. KRAWCZYKOWSKI: *Święto wychowania fizycznego w szkole powszechnej*. Warszawa 1935. „Nasza Księgarnia” (Z praktyki szkolnej Nr. 27).

FR. KRAWCZYKOWSKI: *Przez ćwiczenia cielesne do zdrowia ciała i duszy*. Warszawa 1935. „Nasza Księgarnia”.

ZYGMUNT MYŚLAKOWSKI: *Państwo a wychowanie*. Warszawa 1935. „Nasza Księgarnia”.

KAZIMIERZ DĄBROWSKI: *Nerwowość dzieci i młodzieży*. Warszawa 1935. „Nasza Księgarnia”.

PRAWO

KONSTYTUCJA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ z dnia 23 kwietnia 1935 r. Komentarz opracował Mgr. Jan Dincés. Warszawa 1925. G. Szylling.

KS. PROF. DR. FRANCISZEK JEHLICZKA: *Quo vadis, Słowaczyno?* Warszawa. Odbitka z XLII t. (styczeń 1935) miesięcznika *Nasza Przyszłość*.

RYSZARD PIETRZYŃSKI: *W nowym ustroju*. W dodatku tekst konstytucji. Poznań 1935. Nakł. Wydawn. „Awangarda Państwa Narodowego” t. V.

Inż. ZYGMUNT SŁOMIŃSKI: *Gospodarka Warszawy w dobie kryzysu 1930—1934*. Warszawa 1935.

TEOLOGJA

O. JACEK WOROŃIECKI O. P.: *Pełnia modlitwy*. Studium teologiczne dla inteligencji. Wydanie drugie. Poznań (1935). Księgarnia Św. Wojciecha.

KS. DR. FRANCISZEK SAWICKI: *Dusza nowoczesnego człowieka*. Tło moralne i religijne Akcji Katolickiej. Wydanie drugie. Poznań 1935. Księgarnia Św. Wojciecha.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”, Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9-41-53).

PROSIMY SZ. PRENUMERATORÓW O ODNOWIENIE PRENUMERATY NA KWARTAŁ TRZECI.

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI